

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

U malarzy polskich w Londynie

Jeszcze interesowały mnie pejzaże inne, żywe. Różnoczerwone dachy i soczyste w kolorze łąki angielskie — gdy samolot zniżał się nad tym krajem, aby lądować. A już myślałem o tym, że obrazy malarzy polskich — to będą pierwsze bliskie mi rzeczy, które tu, po sześciu latach mej nieobecności, napotkam. I przy tym ciekawość nie miała: co przemyśleli, jak się rozwinieli, jak malują ci niemal jedyni malarze polscy, którzy mogli przez wszystkie lata wojny malować względnie regularnie i względnie spokojnie?

U nas, w kraju, ciężkie warunki wojennego okresu pozwoliły malarzom zaledwie z największym trudem przetrwać. I to nie wszyscy przetrwali... Nic dziwnego, że brak jeszcze wielkich osiągnięć, skoro dopiero od niedawna mogli na nowo podjąć pracę nad sobą.

Toteż od tamtych, szczęśliwszych, żąda się więcej. Przeszedłem do nich uzbrojony w najsurowsze miary.

Jak się prezentują na tle współczesnego malarstwa angielskiego — miałem okazję stwierdzić od razu. Trafiłem bowiem akurat na doroczny Salon w Royal Academy, na doroczną wystawę t.zw. „London Group”, obejmującej najciekawszych współczesnych malarzy brytyjskich. Przeszedłem wszystkie sale, nie patrząc zrazu w kato-

log. Zapamiętałem płótna najlepsze. Potym sprawdziłem: Gotlib, Potworowski, Żuławski, Ruskowski... Wyróżniali się zdecydowanie dojrzałością swoją, własnym, opanowanym wyrazem, siłą talentów.

I widzę w ich obrazach to przede wszystkim, co zapowiada jak najlepszą przyszłość malarstwu polskiemu: dużą indywidualność, przełamanie powierzchownych konwencjonalności, siłę inwencji, ustawicz-

na pracę w poszukiwaniu głębokiego związku ze współczesnością. Odnosi się to oczywiście do kilku najwybitniejszych. Zresztą nie do wszystkich pracowni zdążyłem zaglądnąć w czasie parotygodniowego zaledwie pobytu w Londynie. A nazwisk tam sporo: Potworowski, Gotlib, Żuławski, Ruskowski, Kossowski, Topolski, Kancelba, Mars, Natanson, Żyw, Janina Konarska, Halina Korn i inni.

Feliks Topolski i Marek Żuławski to już „starzy” londyńczycy, bo przesiedlający w tym kraju od 1935 roku. Pozostali spędzili tam lata wojny, przedostawszy się do Londynu częściowo z Warszawy, a częściowo z Paryża. Teraz wielu z nich myśli o powrocie.

Najstarszy wiekiem i latami pracy malarzkiej — to Henryk Gotlib. Dwukrotnie odwiedzałem jego pracownię. Nieco zbyt rozlewny, niedość zwięzły w formie przed wojną — zrobił Gotlib przez te lata olbrzymi krok naprzód w kierunku budowania obrazów w kolorze nadal bogatych, ale przy tym zamkniętych w mocnej i celowej dyscyplinie. To, czym się rozwój tego malarza cechuje — to stronięcie od eksperymentatorskich efektów. Henryk Gotlib nie eksperymentuje. Jego malarstwo rozwija się stale po jednej, wyraźnie wytkniętej drodze, która go wiedzie do coraz dosko-



Feliks Topolski: Z frontu aragońskiego w Burule



Henryk Gotlib: Fragment tryptyku „Stabat Mater”



Tadeusz Potworowski: W Studio



Tadeusz Potworowski: Okropności wojny



Marek Żuławski: Akt.

nalszego zgrania koloru w budowie przestrzeni malarskiej, do coraz doskonalszej syntezy. To dążenie do syntezy — do syntezy samej gamy barwnej i do syntezy znaczeń — prowadził go do tego, że w ostatnich swych płótnach akcentuje specjalnie formę pewnych momentów obrazu, rozmyślnie lekceważąc momenty inne, dla tej syntezy mniej ważne. Jest w tym coś z podstawy romantycznej.

Obok portretów, aktów i pejzaży — skłania się Gollib i ku kompozycjom monumentalnym budując dwa swoje wielkie, tematyczne tryptyki. Tematyczne, ale nie anegdotyczne.

Zupełnie innymi drogami — osiągając inne, chociaż nie mniej interesujące rezultaty — rozwija się malarstwo Tadeusza Potworowskiego. Potworowski jest bardziej niespokojny w swym temperamencie malarskim, bardziej intelektualny, eksperymentatorski. Szuka jak najbardziej realistycznego wyrazu dla swego świata — rozbijając pozornie, upraszczając, lub wykrzywając formę. O wielu jego obrazach można by powiedzieć, że stoją o krok od nadrealizmu, gdyby nie to, że nie przestają być jednocześnie głęboko i na wskroś malarskie. Pełno też w nich tematów. Ale tematy te wyrażane są w pełni plastycznie, a nie literacko. Więcej nawet: w wielu obrazach wypowiedzieć próbuje Potworowski tych tłumów, ruch nawet gwałtowny. A wyraża to — w przejmujący sposób — nie anegdotycznie, lecz językiem malarskim, napięciem kolorów, które grają niekiedy prawdziwie potężnie, chociaż jest ich niewiele, chociaż jest ich czasem w całym obrazie nie więcej, niż dwa.

W jednej z galerii londyńskich jest właśnie wystawa najnowszych prac Tadeusza Potworowskiego. Nastrój, jaki z nich bije, nazwałbym malarską wypowiedzią intelektualnego dynamizmu.

Marek Żuławski jest też realistą. We wszystkim, co maluje — czy to jest pejzaż, czy wgnęty z jakimś wycinkiem życia codziennego, czy portret karmiącej niemowlę

żony amerykańskiego żołnierza, zatyłowany „Madonna”, czy podpatrzone sceny zbiorowe tłumy ulicznego — wszędzie widać przede wszystkim rzetelny stosunek do rzeczywistości, opowiedziany językiem malarskim, zmysłową i planową organizacją koloru i kształtu. Daleki już od swego malarstwa przedwojennego, bardziej syntetyczny, bardziej zwięzły w malarskich wypowiedziach — swoją drogą rozwojową wytycza bez zbytek eksperymentatorstwa, równomiernie, w czym obaj z Gollibem górują nad Potworowskim, który z drugiej strony przewyższa ich obu swą zdolnością malarskiego wyrażenia dynamiki ruchu. W zasadniczej swej jednak, na wskroś realistycznej (ale spokojnej) postawie wobec świata zjawisk — bliższy jest Żuławski raczej Potworowskiemu, chociaż obrazy ich są dalekie od wzajemnych wpływów.

Tak to nazwałbym Potworowskiego i Żuławskiego — realistami. Tu też należy Zdzisław Ruszkowski, którego niestety dwa tylko obrazy widziałem, ale oba oszczędne w kolorze i mocne w budowie. Gollib — obok swego wysokiego majsterstwa konstrukcyjnego — ma pewne cechy i postawy romantycznego typu.

A zupełnym romantykiem w swych pracach kolorowych, malarskich — jest Feliks Topolski. Nadmierna rozrzutność koloru, brak wszelkiej konstruktywności plastycznej idzie tu w parze z tematyką obrazów, w której współczesność usiłuje być wyrażana w gwałtownych symbolach i alegoriach. Za to gdy powracam w jego pracach do przeglądania stosu rysunków, przywiezionych w czasie wojny ze wszystkich stron świata i ze wszystkich frontów — realistyczny właśnie w tej dziedzinie talent Topolskiego porywa mnie niekiedy i wstrząsa swoją siłą charakteryzowania świata i doskonałością wyrażania się kreską czy plamą. W tej dziedzinie — Feliks Topolski jest i notatnikiem współczesnego świata i twórcą znakomitych wartości artystycznych.

Wspólną cechą tych kilku najlepszych spośród malarzy polskich zasiedziących w Anglii — jest zupełnie już i zdecydowane pożegnanie Impresjonizmu z jego nadmiarem kolorystycznym i z jego specjalną techniką, która w XX wieku stała się już tak nużąco konwencjonalna. Podstawą i materiałem jest nadal kolor — jak zawsze. Ale kolor zdyscyplinowany, poddany wyraźnym i zwięzłym celom konstrukcyjnym obrazu.

Cieszę się, że to widziałem. Widziałem malarzy dojrzałych, wspaniale rozwiniętych, głęboko interesujących. Kraj powi-

nen ich również zobaczyć — i to jak najprędzej. Ale dla nich nie jest prostą sprawą wsiąść do samolotu z dziesiątkami, czy nawet setkami płócien i ram, aby zaprezentować w kraju swój wieloletni dorobek. Ministerstwo Kultury i Sztuki, czy Związek Plastyków, musi im w tym niełatwym przedsięwzięciu pomóc, musi ich zachęcić, sprowadzić. Leży to zarówno w interesie malarzy tujejszych, odciętych przez czas wojny od świata, jak i w interesie wszystkich, w interesie odbudowującej się kultury w Polsce.

Juliusz Żuławski.



Marek Żuławski: W barze londyńskim



Henryk Gollib: Fragment tryptyku „Mickiewicz wraca do Krakowa”

Dyskusja o filmie (II)

ALEKSANDER FORD

O filmie polskim i jego krytykach

Sprawa polskiego filmu nabrzmiwia coraz bardziej. Pewnej kategorii dyskutantów chodzi o „kinofikację” i „kinofikcję” — innych niepokoi sprawa filmu jako najlepszego środka rozpowszechniania kultury, zagadnienia młodej, niesłuchanie sugestywnej sztuki.

P. Kott, który ostatnio wystąpił z krytyką działalności Filmu Polskiego w „Przekroju”, zarzuca filmowcom, że milczą, że „nie chętnie podejmują dyskusję”.

Najpierw jednak parę sprostowań konieczności w wypowiedziach różnych naszych krytyków a zwłaszcza Minkiewicza. Film Polski rzekomo wydał miliony na prasową reklamę swoich osiągnięć. Film Polski nie zapłacił ani jednego grosza za ukazanie się przychylnych, ani za nieukazanie się najbardziej napastliwych artykułów i wzmianek prasowych.

Film Polski wydał rzekomo milion złotych na zakup scenariuszy, które nie zostaną wykorzystane. W ciągu roku na zakup wszystkich bez wyjątku scenariuszy, w tej liczbie kilkunastu krótkometrażówek już zrealizowanych, kilku będących w realizacji, kilku scenariuszy pełnometrażowych, znajdujących się w obróbce i kilku rzeczywiście chybnymi, Film Polski wydał nie wiele więcej, niż połowę tej sumy.

Tendencyjnym uparczywie powtarzaniem kłamstwem Minkiewicza jest twierdzenie, że Film Polski celowo hamuje dopływ na polskie ekrany dobrych zagranicznych filmów.

W rzeczywistości Film Polski stara się sprowadzić jak największą ilość filmów z wszystkich krajów, z którymi Polska ma umowy handlowe, więcej — Film Polski czyni usilne starania sprowadzenia do Polski filmów z tych krajów, z którymi Państwo nasze nie ma dotychczas umów handlowych (np. Anglia). Filmu „Dyktator” z Charlie Chaplinem nie ma w Polsce z tego powodu, że nie mamy dewiz, by zań zapłacić, zaś dla właścicieli filmu ten jest businesssem, a nie obiektem wymiany kulturalnej. Wszystkie filmy sowieckie w kolejności nadywania są przez Film Polski opracowywane i ukazują się na ekranach. Tyle sprostowań. Przechodzę do istoty zagadnienia.

Każdy bezstronny krytyk musi liczyć się z faktem, że po okresie okupacji nie było w Polsce dziedzin życia kulturalnego bardziej zniszczonej, niż film. Po wypędzeniu Niemców pozostała w Polsce spora ilość scen i sal teatralnych, pozostał aparat wydawczy, pozostała wreszcie pewna część radiowych stacji nadawczych. Natomiast nie zostało ani jednego z pięciu atelier przedwojennych, ani jednej aparatury dźwiękowej, ani śladu sześciu warszawskich laboratoriów filmowych.

Porównanie z teatrem o tyle jeszcze wypada na niekorzyść filmu, że w teatrze ludzie, niezależnie od środków technicznych, mogą decydować o sukcesie artystycznym. Nie ma sceny i widowni — można szybko przystosować każdą salę, można grać nawet na hal fabrycznej, w parku. Zrobić film z najgłówniejszymi nawet ludźmi bez całego skomplikowanego aparatu technicznego — niepodobna.

Przed rokiem nieliczna grupa polskich filmowców, ocalałych po okresie okupacji, rozpoczęła pracę na zgłiszczach całego dwudziestoletniego dorobku polskiej kinematografii.

Zabrali się już nie do odbudowy, ale do budownictwa od podstaw, dosłownie w pierwszych godzinach po wyzwoleniu. Nie wiadomo jeszcze, skąd przyjdą maszyny do wołania, ale już dom po prowizorycznym szpitalu wojskowym przystosowano na laboratorium. Nie było ani jednego z dwustu niezbędnych reflektorów, ani aparatury dźwiękowej, ani transformatorów i tysięcy innych instalacji, ale już budowano i przebudowywano gmach pod atelier. Dzięki odwadze i ofiarności operatorów frontowych zdobyto dosłownie na linii ognia część sprzętu technicznego. Wszystko, czego było brak, dostarczyła własna fabryka, której nie było jeszcze śladu 8 miesięcy temu. W tej fabryce, która, zaiste, może być wykładnikiem niespożytych sił i zdolności polskiego inżyniera i robotnika, równoległe latano dziury w pustych ścianach i przygotowywano plany budowy aparatu

ów, których przed tym, w ciągu 20 lat niepodległości, nikt w kraju nie próbował zrobić. I na prowizorycznych jeszcze instalacjach elektrycznych, gdy przywożono, oczyszczano z rdzy i remontowano maszyny, gdy hala fabryczna była jednocześnie biurem konstruktorów, mieszkaniami i stołówką — z maszyn prowizorycznie ustawionych, zaledwie przystosowanych do nowej produkcji, wychodziły pierwsze wykonane w kraju reflektory filmowe. Światowy konserw „Philipsa” pracował nad prototypem aparatu projekcyjnego trzy lata. Po półrocznej pracy prototyp polskiego aparatu projekcyjnego jest faktem dokonanym.

Radiołacja raszyńska, wykonana przy pomocy radzieckich inżynierów i techników, ma transformatory o sile 300 kw — transformatory atelier Filmu Polskiego mają 700 kw.

Przed wojną mieliśmy w atelier zaledwie kilka reflektorów z soczewkami Frenella, obecnie Film Polski ma ich przeszło 200 i produkuje ciągle. Nie mieliśmy przed wojną ani jednego kranu do zdjęć — obecnie w atelier łódzkim stoją dwa.

Nie słyszałem, by gdziekolwiek w świecie w warunkach normalnych, w krajach mających rozwinięty przemysł filmowy, zmontowano i zbudowano atelier i laboratorium, fabrykę sprzętu filmowego w czasie krótszym, niż to zrobili pracownicy Filmu Polskiego.

Można się powołać na zdania filmowców polskich, którzy dopiero powrócili z Anglii, na dziennikarzy szwedzkich, na filmowego przedstawiciela Angielskiego Ministerstwa Informacji, że jest to wysiłek olbrzymi, sukces niepowseźni. Jest to zwrot w dziejach kinematografii polskiej, jest to podstawa rozwoju i rozbudowy sieci kin w Polsce. I gdyby nie ten etap techniczny i organizacyjny, nie byłoby mowy o rozwoju polskiej kinematografii bez względu na to, jak ją sobie wyobrazić.

Spróbujmy teraz ocenić wartość filmów równocześnie realizowanych przez Film Polski.

Podstawą oceny muszą być ustalone kryteria. Wydaje się, że jeśli porównamy nową produkcję Filmu Polskiego z polską produkcją przedwojenną i z obecną zagraniczną, uzyskamy je. Największą pozycję w dotychczasowej produkcji Filmu Polskiego zajmuje Kronika Filmowa.

Pan Mac Galey z Londynu, wieloletni kierownik Fox Movietone, największego tygodnika filmowego świata, oświadczył: „Polski Tygodnik Filmowy jest lepszy stanowczo od francuskiego i angielskiego. Muszę się zastanowić, czy przyznać pierwszeństwo amerykańskiemu”.

Pan Joseph, kierownik grupy filmowej sztabu gen. Eisenhamera, mówi: „byłbym zdumien przyznaniem Polskiego Tygodnika”. Gen. Grosz pisze o roli, którą odegrały polskie krótkometrażówki w czasie jego wizyty w obozach dla Polaków w Niemczech. Poseł Ostrowski w Szwecji podnosi sens pokazów polskich krótkometrażówek dla Związku Polskich Patriotów w Szwecji. Przypomnijmy sobie przedwojenne PAT-y z przysłowiowym rąbaniem drzewa na Huculszczyźnie, przecinananiem wstęg itp. Widzowie tupali i wychodzili na papierosa. Symbolem sprawności dziennikarskiej nowej Kroniki Filmowej jest nieścisłość przez p. Kotta lekceważony nowy automat laboratoryjny „Multiplex”, który pozwala pokazać nazajutrz po filmowaniu — w małym jakimś miasteczku sesje KRN, każdy nowowyremontowany dom w Warszawie, prace i twarze górników, wydobywających naszą walutę — węgiel, twarz żołnierza, który po sześciu latach spotyka w porcie gdyńskim swoją żonę, wreszcie twarz Prezydenta, witającego nowego pośła, świadectwo normalizacji naszych stosunków z zagranicą. Uwagi Minkiewicza w związku z pokazem w Kronice postaci nie uwzględniają naturalnego zainteresowania szarego obywatela, który chce wiedzieć i widzieć, jak pracują ci, których darzy swoim zaufaniem, ci, którym losy Państwa powierzył. Minkiewicz widzi w tym wyłącznie zaspokojenie próżności dygnitarzy, dążenia do reklamy. Tyle o Kronice.

A teraz o krótkometrażówkach kompozycyjnych. Podzieliłem zdanie tych, którzy

krótkometrażówkę „Łódź” krytykują. Temu filmowi brak realizmu, brak surowości życia, jest on przesłodzony, stylizowany. Ale trzeba przyznać zarazem, że sama zmiana tematyki, mimo chybnego wykonania, jest pewnym zadatkami na przyszłość, warta jest adnotacji.

Film Polski zrealizował także krótkometrażówki, jak „Berlin”, „Warszawa”. O tych filmach pisano: „Pomijając wartość artystyczną, posiadają wyjątkowe znaczenie historyczno-polityczne”.

Oprócz tego wymenić jeszcze trzeba sporą ilość filmów użytecznych, filmów poprawnie wykonanych, których ładunek informacyjny lub propagandowy spełnił swoje zadanie. Są to: „Wież i Miasto”, film o świadczących rzeczowych, „Niewidzialny Wróg”, film o tyfusie, „Spółdzielczość” i inne.

Całkowicie chybnym film „2x2” był, jakkolwiek brzmi to paradoksalnie — nieuniknionym błędem realizowanej przez nas polityki wciągania do Filmu Polskiego — młodzieży. Można by jeszcze wyjaśnić, że film realizowany był w zgiełku wojny przez grupę ludzi, których wyzwolenie zastało w Krakowie. Był to ich film robiony przy naszym poparciu. Nie wstydźmy się tego eksperymentowania, które jest ryzykowne, ale które ułatwi nam znalezienie własnego stylu, własnego oblicza polskiego filmu artystycznego. Dział, kiedy istnieje aparat programowy Filmu Polskiego, skala i kierunek tych błędów są już mocno zredukowane. Ale i dziś nie uda się nam ich uniknąć. Film Polski prowadzi śmiało politykę wciągania nowych ludzi do pracy. Są to nie tylko wykwalifikowani, niejednokrotnie zasłużeni artyści swoich zawodów, jak Prazmowski, jest to także młodzież nieopierzona, ale pełna zapału, nieuzbrojona w arkana zawodu, ale ideaowa. Ci ludzie wsparli rutyną innych, otoczeni opieką kierownictwa, znajdują lepszą przyszłość polskiej Filmii.

Bez bazy technicznej nie mógł Film Pol-

ski przystąpić do produkcji filmów pełnometrażowych. Ale są i głębsze powody.

Zniecierpliwionemu p. Kottowi muszę jednak zwrócić uwagę, że Czechosłowacja, która miała 11 całkowicie wyposażonych atelier, zaczęła dopiero produkcję i kończy właśnie pierwszy film pełnometrażowy.

A teraz jeśli idzie o kryteria porównawcze — jaka będzie odpowiedź p. Kotta na pytanie, dlaczego nie ma współczesnych sztuk teatralnych, przecież teatry stały ludźmi teatru przeważnie przetrwali okres okupacji? Jak to wytłumaczyć? I wreszcie ostatnie pytanie — jak sobie p. Kott wyobraża współczesny polski film bez współczesnej powieści? Może p. Kott wyobraża sobie, że scenariusz filmowy jest późniejszym i łatwiejszym rodzajem twórczości literackiej?

Kończąc, chciałbym rozwinąć jeszcze jedno przykre nieporozumienie — nikt w Filmie Polskim nie unika dyskusji, ani kontroli społecznej, wprost przeciwnie. Kierownictwo Filmu Polskiego odwoływało się niejednokrotnie do sądu opinii społecznej, organizując pokazy dyskusyjne prac i filmów, wykonanych przez F. P., zwołując łącznie z Ministerstwem Informacji zjazd odpowiedzialnych pracowników Ministerstwa, przedstawicieli warszawskiej, łódzkiej i krakowskiej prasy, przedstawicieli Związku Literatów, Artystów, Plastyków.

I nie jest winą kierownictwa Filmu Polskiego, że Zjazd nie wywołał zainteresowania literatów. Natomiast kierownictwo Filmu Polskiego skwapliwie skorzystało z zaproszenia krakowskiego Oddziału Związku Literatów, by pokazać w Krakowie i przedyskutować najnowsze krótkometrażówki i Kronikę Filmową, a przede wszystkim by pomówić o pałającej kwestii współpracy z pisarzami.

Powtarzam — kierownictwo Filmu Polskiego chętnie podejmie każdą formę dyskusji na tematy filmowe. Kierownictwo F. P. zgłasza swoje szczere zainteresowanie i przedyskutować każdą inicjatywę w tym zakresie.

Rzeczowa krytyka jest naszym przyjacielem, jest jednym z zasadniczych elementów rozwoju polskiej sztuki filmowej, która jest naszym zawodem, celem i obowiązkiem.

ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU

C Y N K O W E G O

Katowice ulica Podgórna 4 — Tel. 349-01 do 349-11

(Skrót telegraficzny „C Y N K”)

cynek hutniczy surowy, cynek hutniczy rafinowany
cynek elektroliczny
blachę cynkową — kubki cynkowe do baterii
stopy cynkowe (zamaki)
olów hutniczy miękki
wyroby ołowiane jak blachę, rury, plomby, śrut
kadm rafinowany
siarkę elementarną w blokach
kwas siarkowy
kwas akumulacyjny
bezwodny ciepły kwas siarkowy
siarczyny i dwusiarczyny sodowej

Zgłoszenia zapotrzebowania należy nadsyłać do 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny

Na żądanie P.T. Odbiorców służy ofertami i informacjami

WYDZIAŁ ZBYTU

ZJEDNOCZENIA PRZEMYSŁU CYNKOWEGO

Katowice, ul. Lompy 1 — Telefon 349-01



Jerry Andrzejewski

opowieść o człowieku, który z leku przed samotną śmiercią, wydaje niewinnego przyjaciela i razem z nim zostaje rozstrzelany przez Niemców. Przyjaciel przebacza. „Piotr od razu zrozumiał, że Karol wie wszystko. Ale nie zobaczył w jego oczach nienawiści, ani potępienia”. Opowiadanie to oburzyło mnie już wtedy, kiedy słyszałem je w trzecim roku wojny. Jeszcze dziś jest dla mnie moralnie nie do przyjęcia. Przynosi wbrew temu wszystkiemu, co twierdzi autor, usprawiedliwienie słabości i zdrady, która bez względu na stopień przynusmu i intencje zdrójcy, potępić musi każda grupa walcząca. Opowiadanie to jest jaskrawym przykładem zachwiania słusznego społecznego ocen ludzkich. I to nie tylko przez swój bezpośredni wyzół, ale również przez metode, w której zagadnienie zdrady staje się sprawą intencji, samotnego żalu i gestu wybaczenia.

Mamy tu bowiem, jak gdyby dwa opowiadania. Schemat realistyczny wyznacza czas, miejsce, osoby i fakty. Dostatecznie dużo realiów, aby stworzyć konkretną sytuację, która może nas wzruszać i oburzać. Na prawdę jednak opowiadanie „Przed sądem” nie dzieje się na polskiej wsi w październiku 1939 roku. Niemcy i leśniczówka, zakopanie broni i sad polowy są tylko pretekstem, aby ukazać nie granice niedzi i poniżenia, do jakich doprowadzony może zostać człowiek, ale jego wieczną i nieunikloną samotność istnienia. Również dobrze opowiadanie to dotyczy się mógłby do czasów wojny trzydziestoletniej lub wojen napoleońskich. Konkretna sytuacja historyczna jest dla Andrzejewskiego bez znaczenia. Nie ma o niej absolutnie nic do powiedzenia. Więcej wiemy o zamglonych gwiazdach październikowej nocy, niż o niemieckich oficerach, niż o samych bohaterach opowieści. Piotr jest leśniczym, to nie ma żadnego znaczenia. Autor rysuje jedynie abstrakcyjnie kształt konfliktu, pokazuje sytuację duchową. „Nie śmierć — pisze — wydawała mi się straszna, lecz samotność wobec niej... zapadł się naraz w grozę ostatniej świadomej sekundy, w tej samotność prawie ludzka, przenikająca poza śmierć w milczenie i ciemność...”. Znamy te frazy: Conrad, „Przed sądem” jest artystycznie doskonale i zamknięte, ale doskonale swa zawdzięcza powtórzeniu paru tonów z symfonii, jaką wygrał ktoś inny. Sensu tym paru słowom o samotności nie nadają walle realia opowiadania, one są poza nimi, sens tym słowom nadaje Conrad. Doskonałość jest tutaj cudzą.

Posłuchajmy: „Piotr jeszcze raz zdążył spojrzeć na niebo. Jedną, przyciąsającą gwiazdą ploneła wśród ciemnej i milczącej otchłami. Nadzieja! — pomyślał z rozpaczą”. Co znaczy tutaj słowo „nadzieja”? Jeżeli nie nadamy mu sensu, wyznaczonego przez chrześcijańską teologię, słowo to stanie się pustym dźwiękiem.

Blisko, bardzo blisko jesteśmy tutaj „Ładu serca”, powieści o pożądaniu i wyrzeczeniu, grzechu i świętości. Ale „Ład serca” autor świadomie umieszczał w świecie, w którym realność jest grzech pierworodny i laska. Opowiadanie „Przed sądem” dzieje się jednak w październiku 1939 roku. Zarzysowanie konkretnej sytuacji historycznej zdemaskowało cały fałsz i pustkę wiecznego dramatu. Stąd zupełnie inny moralny wyzół opowiadania, niż zamierzał i sądził autor. „Przed sądem” — opowiadanie o samotności, niedzi ludzkiego bytu i nadziei, jest w ramach swojego gatunku moralnie usprawiedliwione. „Przed sądem” — historia leśniczego Piotra, który zalał się podczas badania, jest oburzająca moralnie. Podobny konflikt dwóch stylów, postaw i nawet i języków jeszcze ostrzeż występuje w opowiadaniu „Apele”. Jeszcze ostrzeż, ponieważ realia są bogatsze, ponieważ suchy i dramatyczny język Andrzejewskiego rysuje bezbłędnie scenerie obozu. Posłuchajmy: „Ale chociaż w tłumie związanym wspólnym oczekiwaniem i grozą losowego losu, każdy spośród tych siedmiuset mężczyzn czuł się bezradnie samotny. Pogarda i okrucieństwo nadchodzące wojno lecz niedość łatwo już sama bliskość dentaty braterstwo swoich ofiar. I jeśli w tej chwili, odierając się o cień śmierci, wśród blasku i wśród ciszy rozdrapanych, chrapliwych krzykami łączono cokolwiek tych ludzi, to tylko ciała nudne i półnagie.

wydane strachowi”. To jest jeden język Andrzejewskiego. W tym języku słowa — pogarda, okrucieństwo, braterstwo — mają konkretny sens, opisują losy, zachowanie i przeżycia więźniów Oświęcimia, określała sytuację społeczną.

A teraz drugi fragment: „Może musi istnieć Hans Kreutzmann, aby sztabowy Pawłowski cierpiał ponad miarę swoich mizernych sił, a chłopak, który leży przede mną, mógł w swojej ostatniej chwili powiedzieć: Nie? Może to jest cena zapłaty, ta niedająca się zglebić wież niewidzialna pomiędzy poniżeniem i pogardą, pomiędzy jednym człowiekiem, a drugim...”. To jest drugi język Andrzejewskiego. Rzeczywisty tragiczny więźniów Oświęcimia staje się przykładem wiecznej tragedii ludzkiego bytu. Braterstwo przestaje oznaczać wspólność losu bołowników jednej idei, staje się wyrazem wspólnej odpowiedzialności ludzkiego gatunku za grzech pierworodny. Oto: „Choć nienawidzi tych ludzi opetanych zlem, jest w istocie bardziej z nim związany, niż z cierpiącymi współtowarzyszami niedoli. Nie była to solidarność. Wszystko w nim buntowało się przeciw niej. Nie była to również litość dla zbrodniarzy, gorzkie braterstwo, które każe dzielić z winnymi ciężar wspólnego zła na ziemi. Nie czuł tej litości. Włec ców mnie z nimi łączy — myślał. — Jakże może dzielić odpowiedzialność z tymi, którzy mnie bicia i poniżają i z których reki może w każdej chwili zginąć! Potępia ich... — I po chwili. — Może za te cene wolno potępiać”. Niestety, znamy znowu skadinad ten typ rozmyślań. Przed tym był Conrad. Teraz Dostojewski: uczestnictwo w zbrodni odłania nowa prawdę o grzechu i naturze ludzkiej — a przez to daje możliwość oczyszczenia i powrotu do Boga. Oto druga klasa artystyczna Andrzejewskiego — więźniom oświęcimskim każe przeżywać sabat Karamazowych. Noc hitlerowska staje się wieczną nocą, drzemiacą na dnie duszy ludzkiej: „Zło — pisze Andrzejewski — do którego człowiek jest zdolny, ta otchłań, która trzeba z bliska uirzeć własnymi oczami, aby w nią uwierzyć, te bezmiarły potworności, drzemnieją w ludzkiej istnienie i bezwstydu wśród zwycięskiego triumfu, wydobywające na światło dzienne, to była groza, przewyższająca wszystko, co człowiek jest w stanie przeciercieć.

W dramacie postaw moralnych znikają wszystkie, co jest konkretnością, doświadczeniem społecznym, historią. Chwieja się zwaltnie proporcje realnego świata, rzadzić zaczyna

pełna dowolność psychologiczna. Sztabowy Pawłowski, skopany przez dozorców, umiera szepcząc: „Nikt mnie nie kochał...”.

I znowu, podobnie jak „Przed sądem” fałszywemu dramatowi odpowiadać musi fałsz sądu i fałsz ocen moralnych. Jednym z bohaterów „Apele” jest Capo Schröder, „który swój socjalizm odpokutowywał od sześciu lat po różnych obozach”. Bijł leżę od innych, to wszystko. I oto opisuje Andrzejewski nawrócenie grzesznika. W czasie wielogodzinnego apele, w którym gina dziesiątki więźniów, Capo Schröder przypomniał sobie nagle swój socjalizm. Przykłęka nad jednym z umierających więźniów i go obejmuję: „Trzeba wierzyć, kamerado — szepnął Schröder — wierzyć w zwycięstwo, rozumiesz? Wierzyć w wolność, w przyszłość”. W dramacie postaw moralnych, w katolickim porządku etycznym, żał za grzechy okupuje zbrodnię. W świecie moralności społecznej, patetyczny gest nie zwałnia od odpowiedzialności za zły, za współudział w obozie zorganizowanej śmierci. Na każdym procesie powołują się gesty powy — na momenty litości, gesty sympatii, interwały ludzkości. Oto po raz drugi wymyka się Andrzejewskiemu możność sprawiedliwej oceny konkretnej sytuacji społecznej. Oświęcim jest scenaria wiecznego dramatu.

Trzecim opowiadaniem „Nocy” jest „Wielki Tydzień”. Napisany w roku 1943, został przed wydaniem w tomie przetworzony i przerobiony przez autora. Znam obie wersje opowiadania. Pozwalała one jasno wyznaczyć drogę, jaką przebył Andrzejewski. W pierwszej wersji „Wielki Tydzień” był obrazem wewnętrzznego dramatu człowieka, który cierpi, ponieważ nie może się zdobyć na pełną solidarność i braterstwo z Żydami, walczącymi w ghetcie. W pierwszej wersji tragedia Żydów była tragedia ludzi odartych z braterstwa i skazanych na walkę bez nadziei. W pierwszej wersji stosunek Polaków do Żydów był dramatem odpowiedzialności każdego człowieka za okrucieństwo i zło świata.

W drugiej wersji bogata, trafna i zróżnicowana analiza sytuacji społecznej wszystkich postaci, świat odwrócony głową na dół, postawiła z powrotem na nogach. Walka Żydów w ghetcie przestała być mistycznym dramatem wybranego narodu, stała się fragmentem ogólnej walki z okupacją niemiecką. W tej drugiej wersji „Wielkiego Tygodnia” polawiło się po raz pierwszy słowo „faszysta”. Analiza sytuacji społecznej pozwoliła na pokazanie politycznego podziału polskiego i żydowskiego społeczeństwa.

„Ale zamiast opisywać posłuszny się raz jeszcze metodą konfrontacji cytat. A więc w pierwszej wersji bohatera opowiadania Malecki przeżywa: „poniżająca świadomość mglistej i nieokreślonej współodpowiedzialności za bezmiar okrucieństwa i zbrodni, jakim wśród milczącego przyzwolenia całego świata poddawano od kilku lat naród żydowski...”. Poczucie wspólnoty nosił w sobie jak rane, w której zdawało się iatrzyć całe zło świata. Zdawał sobie jednak sprawę, że było w nim wówczas więcej niepokoiu i przerażenia, niż prawdziwej miłości do tych ludzi bezbronych, zewszad osaczonych, jedynych na świecie, których los odzierał z poniżonego wprawy, lecz przecie istniejącego braterstwa”. Otóż w pierwszej wersji to jest istotna charakterystyka bohatera. W drugiej wersji te same zdania stała się mowa pozornie zależna. W pierwszej wersji to jest trzon dramatu, a w drugiej wersji to jest środek kompromitacji postawy Maleckiego. Przybyły nagle fundamenty: Malecki został zakwalifikowany, wyjaśniony, zdeterminowany: a) przez wychowanie (korporancie sympatie); b) przez postawę polityczną (unikanie zaangażowania się w jakiegokolwiek organizacji walczacej).

W drugiej wersji właściwym bohaterem opowiadania staje się młodsi brat Maleckiego, który z grupa swoich towarzyszy przedziera się do ghettos, aby wspomóc walczących. „Nie myśl — mówi — że my to robimy, aby okupić różne winy i zbrodnie naszych rodaków. Żadnego poświęcenia się, to nie dla nas! To jest o wiele prostsze. Tam gina ludzie, którzy walczą o to samo, o co i my walczymy. O wolność! O przyszłość! Włec ktoś z nas musi być przy nich, to jasne, nie? Zwykła solidarność, nic więcej!” To jest język, którego przed tym u Andrzejewskiego nie spotykaliśmy. Znowu natrafiamy na słowa „wolność i solidarność”. Ale słowa te znaczą teraz coś innego. Przynoszą patos dostepnej doświadczeniu tragicznej rzeczywistości społecznej, patos prostej, ludzkiej zrozumiałości. Na miejscu metafizyki chrześcijańskiej stanęła jednostka ludzka, która walczy, żyje i ginie w historycznym świecie społecznym. Na miejsce prostego i gotowego dramatu postaw moralnych staje dramat konkretnej rzeczywistości humanistycznej, ukazany w całym bogactwie wielorakich związków, jakie łączą ludzi ze sobą.

„Wielki Tydzień” jest wyścikiem z „Nocy”. Pierwszym świadectwem nowego realizmu polskiej prozy. Jan Kott

Prace Akademii Umiejętności

Zostało wznowione wydawnictwo zasługujące na szersze omówienie: Sa to comiesięczne sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności. Recenzowany tomik (XLVI) obejmuje pierwsze pięć miesięcy 1945 r. Przynosi niestety zgodnie z obyczajem tych sprawozdań — tylko streszczenia. Możemy się zatem raczej tylko domyślać, jak bardzo interesujące prace były prezentowane na pierwszych posiedzeniach Akademii po wypędzeniu okupantów. Inauguracyjne posiedzenie odbyło się już 17 lutego. Przedstawił na nim K. Nitsch wyniki półrocznej pracy koleżeńskich redaktorów nad słownikiem staropolskim PAU. Uczony ten stwierdził, iż materiał do słownika staropolskiego jest gotów w tym stonniu, że niemal można by zacząć układać ostateczną redakcję. Nie trzeba wszystkim zajmującym się literaturą wyjaśniać, jak doniosła jest ta wiadomość. Ile nadziei podniesienia kultury słowa w Polsce możemy wiazać z ukazaniem się tego słownika, który wedle oświadczenia redaktora, będzie odznaczał się po raz pierwszy w dziejach naszego słownictwa komieczną precyzją naukową i ścisłością filologiczną. Nadto zaś redakcją jego ma uwzględnić potrzeby czytelnika niefachowca: historyka czy literata. Dlatego też prof. Nitsch przygotował 17 artykułów monograficznych o poszczególnych słowach, wydanie tej dość dużej książki musi jednak poprzedzić ostateczna redakcja słownika. Na przykładach bowiem tych monografii opinia krytyczna i naukowa winna przeprowadzić ostateczną dyskusję — jak ma wyglądać schemat redakcyjny słownika. Powtórzmy za prof. Nitschem, że książka ta winna ukazać się natychmiast.

Na czoło innych sprawozdań wysuwa się streszczenie rozpraw prof. Biulaka: „Ustrój Polski w XI w.”. Autor znakomicie charakteryzuje stosunki społeczne czasów Chrobrego. Odkrywa odległe antagonyzmy klasowe: „Głębsza różnica między prostymi wolnymi, a wyższą grupą szlachty, występuje w opisie reakcji po Mieszku II (miedopunzanie do urzędów i do związków rodzinnych), w opisie perzebu Mieszka, syna B. Smialego, który jest manifestacją ludu przeciw szlachcie”.

Autor podkreśla, że okres Bolesława odznacza się szczególnym nateżeniem sił rewolucyjnych prowadzących pod wodzą króla do gwałtownych i głębokich przemian społecznych. Właśnie ta rewolucyjność przeobrażeń społecznych za Chrobrego tłumaczy autor katastrofalną reakcję pogańską za Mieszka.

Również trapiącym rezultatem ostrego i jasnego widzenia w mroku jest rozprawa St. Ketrzyńskiego „O zaginionej metropolii czasów Bolesława Chrobrego”. Uczony autor na podstawie umiejętnej zestawienia danych historycznych wskazuje, że po 1000 r., a przed 1037 istniała obok gnieźnieńskiej druga metropolia wschodnia w Sandömierz. Wymie-

na różne przyczyny dlaczego tak szybko skończył się ten pierwotny rozmach w organizowaniu naszej administracji kościelnej. Fakt wchłonięcia ziem tej metropolii przez Biskupstwo krakowskie tłumaczy dlaczego to ostatnie pod względem obszaru było największym w Europie.

Na czoło prac historyczno-filologicznych interesujących także laika — wysuwają się dwa studia orientalisty Kowalskiego i historyka Włodawicza dotyczące relacji Ibrahima b. Jakuba o jego słynnej podróży do Słowian. Profesorowi Kowalskiemu udało się trafnie odczytać szereg zwrotów dotyczących zagadkowych w tej relacji. Następnie ustalić datę audiencji Ibrahima u cesarza Ottona, a więc i datę pobytu w Polsce na rok 965/6. Przynoszą te prace także nowe oświecenie postaci podróznika. Wbrew szkolnej legendzie nie był to prosty kupiec, ale wybitny uczony, piastujący prawdopodobnie półoficjalną misję.

Z rozpraw językoznawczych naciekawszą dla literatów i kulturalnego ogółu jest praca M. Duskiej „Wiersz polski XV i pierwszej połowy XVI w.”. Autorka stwierdza, że polski wiersz średniowieczny nie był ani sylabiczny jak chciał Łoś, ani toniczny jak chciał Siedlecki, ale że odznacza się swoistą technika zdaniowo-rymowa. Każdy wiersz wypełniony jest całym zdaniem i zakończony symonem rymowym. „Nie ma w nim innej zasady strukturalnej jak współtorowość zdania i wiersza”. Dziś gdy Aragon nawiazuje tak owoicie do tradycji francuskiej poetki średniowiecznej — winniśmy i my w naszych śródwiskach pisarskich nawiazuujących do pełnej tradycji literackiej jak najdokładniej znać przeszłość naszego wiersza.

O ile praca polonistki dała przekonującą formułę teoretyczną — to rozważania klasyków odznaczają się w recenzowanym zbiorze niedbalym impresjonizmem. To co prof. Skimina ma do powiedzenia o stosunku formy rytmicznej do treści u Horacego przeczy wszelkim wymaganiam teoretycznego, językoznawczego ujęcia wmiennych elementów dzieła literackiego. Inne prace literackie stanowią także tylko przyczajki historyczne, które w streszczeniu prawie nie mówią.

Najwięcej wątpliwości budzą rozprawy filozoficzne. Większość — to bardzo narracyjne przyczajki historyczne — bez prób jakiegokolwiek — a zwłaszcza sociologicznej interpretacji (np. R. Dybowski, Emerson i transcendentalizm amerykański). Wyróżnia się wśród tych prac szerszym zakresem systematyczna próba W. Tatkiewicza „Nauki nologiczne i typologiczne”.

Autor przeprowadza tu krytykę podziału nauk na nometodyczne i idyograficzne. Twierdzi iż to ostatnie maja się zajmować opisaniami faktów. Ponieważ zaś wszystkie nauki wychozą od opisu faktów, a żadne na tym nie poprzestają — odrzuca ten podział jako błę-

ny. Proponuje natomiast podział oznaczony w tytule swej rozprawy, stoi bowiem na stanowisku iż da się wyróżnić dwie grupy nauk, z których jedne szukają praw, drugie zaś „zmierzają do ustalenia typów, różnych postaci, w jakich w danej dziedzinie występują zjawiska”. Otóż da się bezsprzecznie powiedzieć, iż wszystkie nauki ustalały typy zjawisk. W naszej literaturze analizował to obszernie Metallman w swej pracy o determinizmie nauk przyrodniczych w rozdziale o determinizmie morfologicznym. Pierwotnym grzechem pracy Tatkiewicza jest nieokreślenie głównego przedmiotu badań: „nauki”. Wbrew pozorom pedantyczna jasności — autor nie mówi co ma na myśli pisząc „nauka”. Zachowanie się uczynio? Językowe? pozajęzykowe? zbioru sądów? jakich? zbioru praw? W czym się u licha wyraża „zmierzanie nauki do...?”

Konsekwencją tej nieokreśloności jest fakt, że przedmiotem rozważań Tatkiewicza jest „nauka” w jakiegokolwiek interpretacji, ale rozprawa z poprzecnikami, którzy o naukach pisali, klasyfikując je i jakoś rozumiejąc, rozprawa prowadząca do swobodnie, wyspekulowanych poprawek tradycyjnych klasyfikacji bez naruszenia, bez uświadomienia ich podstaty.

Myślę, że natrzejwiej byłoby rozważać nauki w płaszczyźnie językowej. Klasyfikować je zatem zależnie od różnych typów dyrektyw języka danej nauki tzn. danej teorii, od różnych typów składni logicznej języka nauki. Tak pomyślana klasyfikacja będzie sprawdzana, nie będzie budząca wątpliwości i niezgodna z faktami dowolnością. W efekcie podział Tatkiewicza jest również nieistotny jak i zwalczany przez, tak samo komiecznie krzyżuje się z podziałem przedmiotowym i prowadzi do chaosu. (Podział przedmiotowy tzn. przeprowadzony ze względu na różnice przedmiotu badań). Jeśli odrzucimy pragmatyczne sugestie priorytetu metody, rzekomo organizującej dopiero przedmiot badań — ten podział będzie jedynie istotny. Ustalić go zaś można bez zbędnych spekulacji ontologicznych, analizując odrębność metodologicznej struktury teorii adekwatnych, analizując natprościej i najdokładniej w płaszczyźnie językowej. Ten punkt widzenia umożliwi empiryczne sprawdzanie wiedzy o nauce. Przynajmniej właściwy opis faktów, bo pełna teoria nauki, o ile nie ma być pustym formalizmem, wymaga oczywiście jeszcze sociologicznej i historycznej interpretacji.

Omówione tu prace — są wybrane dość subiektywnie. Recenzowany bowiem tomik zawiera streszczenia aż 33 rozpraw. Myślątem jednak, że właśnie poruszone tematy będą bliższe, niż wiele innych; czytelnikom „Kuznicy”.

St. Żółkiewski

Na wielkiej fali

„Żywy embrion ludzki w probówce”

Na słynnym Harwardzkim Uniwersytecie w Bostonie w jednym z laboratoriów wydziału lekarskiego dwoje uczonych John Rock i pani Miriam Menkin niedługo przed końcem wojny dokonało zadziwiającego eksperymentu. Wypreparowali żywe nieuszkodzone komórki jajowe u kobiet — oczywiście bez najmniejszej szkody dla zdrowia pacjentek. Ogółem udało się otrzymać 800 takich jaj. Z tej liczby 138 poddali oni działaniu żywych plemników ludzkich poza ustrojem. Po wielu bardzo niepewnych obserwacjach w sierpniu 1944 r. donieśli oni w amerykańskim czasopiśmie „Science”, że udało się wreszcie zapłodnić w ten sposób w 3-oh wypadkach jaja ludzkie.

Pierwsze z nich pochodziło od 38-letniej kobiety. Po dokładnym wypłukaniu umieszczono komórkę jajową na przeciąg 27-tych godzin w surowicy krwi pacjentki. Następnie przeniesiono ją na jedną godzinę do zawieszony żywych ruchomych plemników, po czym z powrotem zanurzono do surowicy krwi tym razem innej kobiety. W nowym środowisku John Rock i pani Menkin spozostęgli pewne charakterystyczne zmiany świadczące o tym, że zapłodnienie rzeczywiście nastąpiło. Po 40-tu i pół godzinach dalszej obserwacji zapuszczenie to potwierdziło się w pełni, gdy jajo podzieliło się normalnie na dwie komórki zarodkowe. Doświadczenie udało się powtórzyć z drugim jajem. Zaś w trzeciej z kolei zapłodnionej komórce jajowej udało się zaobserwować nie jeden, ale nawet dwa kolejne podziały komórki.

Jednocześnie niemal na Uniwersytecie w Warchester Pinkusowi udało się zapłodnić w ten sposób jaja królika umieszczając w macicy dojrzalej samicy i uzyskać zupełnie normalny przebieg ciąży.

W amerykańskiej prasie naukowej ukazały się w związku z tym rozważania, że po doświadczeniach Rocka i pani Menkin w najbliższym czasie możliwe stanie się okazanie pryncyptom ciępiącym na bezpłodność z skutkiem niedroźności jajowodów. Przypuszczalnie uda się powtórzyć na ludziach zabieg dokonany przez Pinkusa na królikach. To zn. zastąpić w macicy kobiety bezpłodnej jej własne a nawet i cudze jajo zapłodnione sztucznie i tą drogą wywołać u niej normalną ciążę.

Oczywiście, trudno jest w tej chwili ogarnąć i przewidzieć bieg i wyniki dalszych badań, i prae w tej dziedzinie.

Oto wiadomości, które dotarły do nas niedawno, z pewnym opóźnieniem spowodowanym przez trwające jeszcze niestety trudności w wydaniu informacji naukowych. Wiadomości — trzeba to przyznać — niestety działające na wyobraźnię.

W zapłodnionym jaju, po zespoleciu się żeńskiej komórki rozrodczej z plemnikiem, zawarte są już wszystkie zadatki przyszłego osobnika. Według danych jakimś rozprządza biologa, w tym mikroskopijny strzępek żywej materii tkwiąca i zdeterminowane całkowicie wszystkie jego cechy przyrodzone. Okres ciąży niczego od nich nie odejmuje i niczego nie dodaje. Organizm macierzysty ssaków i człowieka spełnia — jak można przypuszczać — tylko rolę żywego rezerwuaru, z którego rozwijający się zarodek czerpie materiał do budowy swego ciała.

Teoretycznie więc, po ustaleniu tych praw podstawowych, wynika możliwość prowadzenia rozwoju embrionu ludzkiego poza ustrojem matki. — możliwość — powtarzam jak na razie teoretyczna — stworzenia poza ustrojem macierzystym warunków podobnych do tych jakie ma embrion kury albo trytona w jajku umieszczonym w inkubatorze. Myśl o takiej hodowli zapładniała fantazję wielu pisarzy i posłużyła Huxley'owi jako temat do niesamowitego obrazu społeczeństwa ludzkiego, preparowanego na drodze tego rodzaju celowej hodowli.

Minęło niewiele lat od czasu gdy ukazała się owa książka Huxley'a, którą autor nie bez odcienia drwiny zatytułował: „Nowy wsparcia świat” i oto czytamy, że pierwszy krok na drodze hodowli pozaustrojowej embrionu ludzkiego został dokonany.

Trudno jest w tej chwili przewidzieć, kiedy uczeni зробią krok następny. Fizjologia życia zarodkowego człowieka jest nauką młodą i bardzo jeszcze niekompletną. Rozwój embryologii odbywał się nierównomiernie. Podczas gdy badania rozwoju zarodkowego zwierząt niższych udawały się doskonałe i szły jak z płatka, podobne badania u ssaków natrafiały na bardzo poważne trudności. Klasycznym obiektem embryologii są zapłodnione jaja niższych zwierząt morskich w pierwszym rzędzie rozwijających się żółwiaków, jaja te po zapłodnieniu rozwijają się w wodzie morskiej. Dzięki ich przezroczystości wiele rzeczy rozgrywających się wewnątrz zarodka: podziały komórkowe, powstanie tkanki i narządów — można obserwować częściowo za życia nie naruszając zupełnie naturalnych warunków rozwoju. Pierwsze nasze pojęcia o rozwoju zarodkowym i dużą rolę w nim w szczególności posiadanych przez nas w tej dziedzinie wiadomości zawdzięczamy tym właśnie łatwym do obserwacji twórcom. Tak już z naturą bywa, że rozwija się ona najbujniej w kierunku najmniejszego oporu metodycznego i dlatego wiedza nasza w różnych częściach równoległych dziedzinach jest bardzo nierównomierna. Tak się też ma i rzecz z em-

brionologią. W podstawowym trytomowym dziele Needham'a, w którym cytowanych jest 4500 dzieł z tej dziedziny przyłączająca większość materiału odnosi się do rozwoju jaja zwierząt bezkręgowych względnie niższych kręgowców, a więc gadów, płazów i ptaków.

Fizjologia rozwojowa płodu ssaka ukrytego w głębi organizmu macierzystego, połączonego z nim intymnymi łańcuchami do uszkodzenia więzami — była i jest z natury rzeczą przedmiotem bardzo trudnym. Z drugiej zaś strony, jak to dobitnie wyraził jeden z czołowych fizjologów sowieckich Orbelli, „fizjologia embrionu może być kluczem do odcyfrowania najbardziej zawiłych problemów ogólnej fizjologii” stwarza ona bowiem możliwość obserwacji i zrozumienia wielu zjawisk w przebiegu ich powstawania, rozwoju i kształtowania. Jednak trudności techniczne tych badań w pełni dorównują się jej wielkiej wadze dla fizjologii. Dlatego też mimo tak znakomitego sukcesu amerykańskich biologów, w którym udało się zapłodnić jajo ludzkie poza organizmem kobiety, utrzymać a nawet rozmnożyć na pewien czas iskerkę życia w embrionie ludzkim hodowanym w probówce — mimo tego niewątpliwie wspaniałego eksperymentu, trudno jest w tej chwili przewidzieć dalszy bieg tej sprawy. Nie są to bynajmniej rzeczy proste, szczególnie wtedy gdy się im przyjrzeć z bliska.

Embriofizjologia — fizjologia życia zarodkowego kryje w sobie niejedną jeszcze zagadkę. Dużą niespodzianką dla fizjologów było choćby odkrycie Barcroft'a, że hemoglobina embriomu różni się wyraźnie i trwale swymi właściwościami od hemoglobiny osobnika dojrzałego. Rosyjski fizjolog Gincewskij w następstwie zaobserwował, że czerwony barwnik krwi noworodków posiada wyższą zdolność wiązania tlenu niż hemoglobina matki. Fakt ten jest po dziś dzień dostatecznie wyjaśniony.

Pełną zagadkę i niejasność jest czynność układu nerwowego płodu ludzkiego. Rozprządzamy w tej dziedzinie tylko fragmentarycznymi niepoważnymi za sobą danymi. Wiemy, że płód w późniejszych miesiącach ciąży reaguje na pewne bodźce, wiemy, że jak się wyraził prof. Michałowicz na dźwięk klaksonu samochodowego przyłożonego do brzucha kobiety ciężarnej — dziecko zrywa się jak gdyby w jej wnętrzu „do ucieczki”. Z drugiej zaś strony obserwujemy, jak nawet u nowonarodzonych osobników daleko nie wszystkie podstawowe czynności autonomiczne układu nerwowego zostają z miejsca uruchomione. Rosyjski fizjolog Lejsson, mierząc temperaturę ciała sefkom nowonarodzonych szczerów przekonał się, że w ciągu pierwszych tygodni ich życia są one całkowicie pozbawione zdolności tak właściwej zdatności się zwierzęciu ciepłokrwistym — automatycznego regulowania ciepłoty i utrzymywania jej na stałej wysokości. W tym okresie przypominają one pod tym względem bardziej ryby i węże niż dorosłych ssaków.

Inne doświadczenie wskazujące dobitnie na swoje i odrębne prawa rządzące życiem zarodkowym przeprowadził Anochin i Gohlubewa. Posługując się bardzo precyzyjną techniką chirurgiczną uszkadzali oni różne ośrodki kory mózgowej i obszary podkorowe mózgu zarodka świnki morskiej — 30, 40 dni przed porodem. Operacji tej dokonawali oczywiście nie usuwając płodu z łożyska i nie naruszając funkcji życiowych zarówno matki jak i płodu. Przy pewnym stopniu zręczności i wprawie nawet bardzo poważne uszkodzenia dokonywane przez operatora w mózgu zarodka nie przeszkadzały temu, że po 30-u do 40-u dniach w przepisywanym terminie rodziły się małe niewiele albo też wcale nie różniące się od osobników normalnych. Okazuje się, że u zarodka zdolność kompensacji t. zn. zastępowania uszkodzonych obszarów tkanki mózgu przez inne grupy komórek kory mózgowej, które biorą na siebie części ośrodków zniszczonych — występuje w stopniu bardzo silnym bez porównania silniejszym niż u osobników dojrzałych.

Anochin spozostęgli jednak, że po 8-10-ciu miesiącach życia świnki, którym zoperowano pewne obszary kory mózgowej w okresie płodowym — ginęły od ataku o charakterze epileptycznym. Cała ta sprawa nie jest dość jasna, stanowi ona jednak przyczynek do rozprządza zagadkowych mroków, w których ciągle jeszcze trwa embriologia ssaków.

Przyznać muszę, że gdy przeczytałem o doświadczeniach Rock'a, i pani Menkin i Pinkus'a, gdy wyobraziłem sobie tych ludzi pochylonych nad zamkniętym w kamerze szklanej żywym zarodkiem człowieka prawdziwym „homunculem” średniowiecznych alchemików — do uczucia podziwu domieszkała się gorączka wątpliwości. Jakich wątpliwości? Czy tylko tych, że droga od pęcherzyka zarodkowego do dojrzałego płodu ludzkiego jest niesłychanie skomplikowana i na długo chyba jeszcze pozostanie niedostępnym dla nas przywilejem natury? Nie, nie tylko.

Niedawno czytałem o zeznaniach, jakie składała przed trybunałem w Norymberdze pewna Francuzka o tym jak Niemcy przepro-

wadzali w obozach koncentracyjnych doświadczenia naukowe na żywych kobietach, z tym, że przygotowywali po swojemu naukowo uzasadnione i przyrodniczo opracowane mordercze zabiegi, które miały zaimar stosować wobec setek tysięcy i milionów ludzi. I co by to było gdyby nie twarda zawziętość rosyjskiej dywizji, gdyby Hitler wziął górę i zwyciężył. Pomyślałem sobie o tym czym mogłaby się stać, a więc czym w zasadzie może być, w co może wyrodzić się nauka a biologia w szczególności.

Im bardziej rozwija się nauka przyrodnicza, im głębiej i szerzej ogarniają świat i poddają się woli człowieka, tym tragiczniej tym groźniej i niebezpieczniej zarysowują się rozdzierające między potęgą tej wiedzy i wynikającej z niej władzy, nad przyrodą, a ciągle jeszcze trwającym chaotycznym rozprządzeniem, bezwładną niedolnością w organizacji życia społecznego i politycznego w którym i nadal nie przesłaja panować zmurszałe idee i tradycjonalistyczny prymitywizm.

Dr. Jerzy Barski

Nowe wydanie „Kryżaków”

Dzieje piśmiennictwa naszego w ostatnich kilkudziesięciu latach niewątpliwie niewiele le notują wypadków, jakż zdarzył się z ostatnim wydaniem Sienkiewiczowskich „Kryżaków”.

Zastrzegam się, iż uwagi moje o tym wydaniu kreślę nie na podstawie porównania owego nowego wydania z jakimś wydaniem, dokonanym za życia Sienkiewicza, bo, po 1-sze, nie mam na to czasu, 2-gie, sądzę, że w Łodzi, znając stan tutejszych bibliotek, wydania potrzebne do skolejonowania nie znajdzie. Zadoławałam się więc artykułem p. J. Sieradzkiego, artykułem ogłoszonym w Nr 48 „Odrodzenia” z roku 1945, a który mi dopiero niedawno wpadł był do rąk. Otóż w artykule tym w końcu znalazłem następujący ustęp:

„W ustalenie tekstu nowego wydania powieści włożono wiele starania, dano poprawną pisownię i przestankowanie... W pisownię nazwisk wprowadzono ład: Danvel (zamiast Danfeld), Gotfryd (zamiast Godfryd, Gofried, Ulyk (zamiast Ulych), Markwart (zamiast Markward, de Bergow (zamiast Bregow), Majneger (zamiast Mejneger). Zmianami w „Kryżakach” (zamiast w „Kryżakach”) dokonano poprawek: „i póki księżna nie pościągła jej za kołnierz ku sobie” (zamiast: ja), „napatrzył się do syta (zamiast: do sytu)”, „zasie mistrzowi i wam do Mazowsza” (zamiast: od Mazowsza), zająkując się (zamiast: zająkując się), oraz trafnych korektur: „Mistrz na króla Ledy do obcych dworów wysła (zamiast: dworzan), złotem przeciw żelazowi nie wskórasz (zamiast: przeciw), jakoby własnej siostry (zamiast: własnej)”. Natomiast poprawka Aralu na Ural jest dowolna. — Nareszcie podano poprawny tekst „Bogurodzicy”.

W ten sposób popelniono rzecz niedopuszczalną, mianowicie „poprawiono” język mistrza w tej dziedzinie; znalazł się nawet i chwalcza tego rodzaju postępowania. A przecież jest rzeczą powszechnie wiadomą, że języka pisarzy-twórców, klasyków, poprawiać nie wolno.

Za życia mego przypominam sobie dwa podobne wypadki. Pierwszy stał się na końcu ubiegłego wieku. Pewien reżyser teatralny w Krakowie poczył kilka poprawek w języku którejs z dwóch kronik dramatycznych: „Słowackiego” i „Lilla Weneda”; a wystawionej w teatrze krakowskim, Naturalnie powstał gwałt i tekst do dalszych przedstawień restytuowano w formie językowej właściwej Słowackiemu. — Drugi wypadek zdarzył się również w Krakowie w wydawnictwie Akademii Umiejtności. — „Bibliotece Pisarzy Polskich”. Wyszedł podówczas (ok. r. 1902) w wydaniu pupila prezesa Akademii, Stanisława Tamowskiego — Lucjana Rydla poety, więc wcale do tego rodzaju pracy odpowiednio nieprzygotowanego, pierwszy tom „Jerolim Wyzwolonej” Tassa. Wydawca w języku tłumacza Piotra Kochanowskiego poczył tu i ówdzie pewne zmiany. O ile sobie przypominam, Ad. Ant. Kryński pierwszy wskazał na to nadużycie. Oczywiście znowu powstał gwałt. W każdym podręczniku do dziś ostrzeżenie przed tym wydaniem.

A oto obecnie, „poprawiając” język Sienkiewicza w „Kryżakach” dopuszczono się również rzeczy niedopuszczalnej. Najwidoczniej ani wydawcy, ani recenzent w sprawach tego rodzaju nie orientują się. Jeżeli już konieczność którejś poprawki jakiegoś miejsca, to mogły to uczynić w przypisach. Nie uczyniwszy tego — szfarszowała język Sienkiewicza.

To sprawa jedna. A teraz druga: jakiego rodzaju zmiany poczyniono? Oczywiście, odróżniać zasadniczo należy z jednej strony: błąd drukowy, oraz ortograficzny; z drugiej — język w danym wypadku Sienkiewicza.

Dwie pierwsze sprawy są same przez się zrozumiałe. Nikt nie będzie przedkładał jakiegoś błąd uprzednio już wydrukowanego utworu z błędami druku dawniejszego wydania, ani nie będzie zachowywał dawnej pisowni, o ile to nie jest przedruk, dokonany w celach naukowych. Co innego język, z czego nie zdają sobie najwidoczniej sprawy ani wydawcy, ani recenzent. To też czytamy w wyżej przedrukowanym ustępie: „W pisowni nazwisk wprowadzono ład”, a więc poprawiono np. Bregow na Bergow (tak u Długosza). Ale czy to sprawa pisowni? Najprawdopodobniej błąd drukowy. Albo np. co to za „ład” w rzekomej „pisowni”, kiedy Ulycha poprawiono na Ulyka, a Markwarda na Markwarta, czyli w pierwszym wypadku niemiecką formę zamieniono łacińską (Urlicus) a w drugim odwrotnie: łacińską (Marquardus) zamieniono niemiecką... Gdzież tu „ład”? I czy naprawdę konieczny? Przecież w czasach, o których pisze Sienkiewicz istniały obok siebie i jedno i drugie. Ten sam Niemiec, którego nazwisko kończyło się na —hard czy —wart pisał się w owym czasie (nieależnie od etymologicznego pochodzenia): —hard, —hard, —hard i —wart, —ward, —ward... Dlaczego wszystko trzeba zaraz „gleichszaltować”? Przecież np. w „Ogniem i mieczem” Sienkiewicz pisze tuż obok: raz Turek, to znów

Im bardziej rozwija się nauka przyrodnicza, im głębiej i szerzej ogarniają świat i poddają się woli człowieka, tym tragiczniej tym groźniej i niebezpieczniej zarysowują się rozdzierające między potęgą tej wiedzy i wynikającej z niej władzy, nad przyrodą, a ciągle jeszcze trwającym chaotycznym rozprządzeniem, bezwładną niedolnością w organizacji życia społecznego i politycznego w którym i nadal nie przesłaja panować zmurszałe idee i tradycjonalistyczny prymitywizm.

Dr. Jerzy Barski

Turczyń, raz Węgiel, to znów Węgrzyn na Wołoch, to znów Wołoszyn... Czy i to trzeba będzie „gleichszaltować” na rzecz dzisiejszej form: Turek, Węgiel, Wołoch?..

Zmiana w „Kryżakach”, jak pisze Sienkiewicz obok w Maszkowie, poprawiono na Zyndram z Maszkowie. Wprawdzie tak jest u Długosza (Zyndram de Maszkowie), ale to nie jest wystarczająca podstawa do powyższej poprawki, nie tylko z naznaczonego już wyżej względu natury ogólnej, lecz również i z tego względu, że co innego jest Maszkow, a co innego Maszkowie, a faktem jest że ród, z którego pochodził Zyndram, pisał się przymiotnikowo Maszkowski, a nie Maszkowiekimi. Musiał więc i Sienkiewicz mieć swoje racje, jeśli pisał też Zyndram z Maszkowa, chociaż zapewne dobrze wiedział, że jest u Długosza, którego wcale ściśle się trzymał. Podobnie jest też np. z Radziejowskim, których się „wywódził” i z Radziejowa i z Radziejowie.

To niby „ład” w „pisowni”? A teraz „poprawki języka”. Sienkiewiczowski: „księżna nie pościągła ją za kołnierz”, poprawiono na: „księżna nie pościągła jej za kołnierz”, wedle jednostronnej szkolnej reguły o genetywie przy przeczeniu, albowiem ubrała się nam, że to „specyficzna właściwość” języka polskiego, szczególnie w przeciwstawieniu do znanego nam „jedynego” języka słowiańskiego — rosyjskiego. Tymczasem jest to właściwość wszystkich języków słowiańskich, przy czym we wszystkich od najdawniejszych czasów stwierdza się odchylenie. Największe zaś w języku rosyjskim. W tych warunkach właściwość języka Sienkiewicza nabiera specyficznej wartości i tym bardziej na takie poprawki pozwolić sobie nie można.

Sienkiewicz pisze „do sytu”, poprawiono na: „do syta”. Ale dość zajrzeć do Lindę, żeby spotkać się zrazem na początku artykułu wziętą z formą: „do sytu”; innej Lindę wziętą nawet nie przytacza. Dlaczego właściwość języka Sienkiewicza nie może być formą „do sytu”?

Walpójwe też wartości jest poprawka Sienkiewiczowskiego: „zasie mistrzowi i wam od Mazowsza” na „do Mazowsza”, bo i w zasie ma znaczenie wana, więc może być użyte i do i od. np. w „Amfitrionie” Zablockiego czytamy: „od zdrowych im (tj. lekarzom) wana!” (L.). Mówimy też „szkółka od butów” i „szkółka do butów” itp.

A już popelniona oczywiście niedokładność, zamieniając Sienkiewiczowskie zająkując się na zająkując się. Przecież co innego jest (dawniej zająkować się); czasownik ostatni jest czastolliwym.

Wreszcie recenzent podkreśla, wyrażając przez to uznanie, że w nowym wydaniu dano „poprawny tekst Bogurodzicy”. Co to znaczy? Przecież ten tekst, który wstawiono, jest tylko najbardziej prawdopodobną rekonstrukcją, bynajmniej nie wyzerpniętą innych możliwości. Zapewne, można żałować, że Sienkiewicz nie interesował się tak sprawami językowymi, a przede wszystkim badaniemi nad językiem polskim, jak np. Żeromski, ale czy to upoważnia wydawców do czynienia tego rodzaju zmian — i to bez żadnych informacji, objaśnień?

Ale co najważniejsze — poniedział „wpadnięto” z tą poprawką, kázano wojsku w roku 1410, więc na początku XV wieku, śpiewał Bogurodzicę wedle rekonstrukcji dla końca wieku XIII, a ostatnią z przytoczonych przez Sienkiewicza zwrotek (ósma według rękopisów) wcale nie poprawiono nawet według rękopisu z połowy XV wieku!

No i dlaczego zmieniono Bogurodzicę tylko, ale nie zmieniono nowoczesnego „Ojczyszna” i „Zdrowaś”, chociaż mamy przecież teksty właśnie z owych czasów?

A może by wydawcy, idąc konsekwentnie w tym „poprawskim” kierunku, zechcieli usunąć podzwolenie: „Nech będzie pochwalony!” boć przecie zapewne w Polsce w owym czasie nie było w użyciu. W każdym razie dowodów na użyte nie ma żadnych; natomiast wiadomym jest, że na Zachodzie, gdzie dopiero od końca XVI wieku zaczęło się ono szerzyć, mianowicie od czasu kiedy Papież Sykstus V w końcu tego stulecia zalecił ten zwyczaj, połączony go z odpustami i innymi przywilejami. Właśnie, aby się szerszyło... Z historii natomiast naszego wiemy, że szerzeniem zwyczaju tego w Polsce zajęli się Jezuici dopiero w XVIII wieku!

W ten sposób, konsekwentnie wychodząc z zasady, że można poprawiać język Sienkiewicza, przedziemy do poprawiania i rzeczy faktów... I dojdziemy do absurdu... Nie chwaleb więc owo wydanie „Kryżaków” należy jak to czyni p. Sieradzki, lecz zganić, zastrzegając się na przyszłość przeciwko tego rodzaju procederom.

Henryk Ulaszyn

Rozmaitości

W zamczysku spuszczają mosty

Pisząc niedawno o sprawach filmowych, pozwoliłem sobie nazwać instytucję „Film Polski” feudalnym zamkiem odgradzonym fosami od świata literackiego i artystycznego. Pozwoliłem sobie na to w dniu, kiedy filmowcy podejmowali dygnitarzy państwowych w swoim zamczysku, czy też w swoim świeżo zbudowanym atelier, zachwyceni osiągniętymi sukcesami w dziedzinie techniki przygotowawczej. Opinia publiczna nie podzielała tego zachwytu. W krótkim czasie opinia publiczna zmusiła mieszkańców zamczyska do spuszczenia zwodzonych mostów. W dzisiejszym numerze „Kuźnicy” dyrektor „Filmu Polskiego” Aleksander Ford, ogłasza swój artykuł dyskusyjny. W następnych numerach ukazać się wypowiadają inni filmowcy, którzy nie zawsze i nie we wszystkich zgadzają się z Aleksandrem Fordem. W klubie łódzkich literatów, w Klubie Piekwicka, odbyła się walna dyskusja między literatami a filmowcami, ta dyskusja z pewnością przyczyniła się do wyjaśnienia wielu nieporozumień. Na razie więc mosty spuszczone po to, aby wejść między ludzi z poza sfer filmowych, którzy ostatecznie mają w tych sprawach coś do powiedzenia. Ale po spuszczeniu już mostów może się zacząć ruch w obie strony.

Tym razem, jak i w wielu wypadkach, opinia publiczna wyraziła się w głosach literatów. Właśnie literatów, którzy zajmują się publicystyką, a nie zawodowych dziennikarzy. Szanuję bardzo zawód dziennikarza i przyznaję mu wybitną funkcję kontroli społecznej, ale takie już jest widać znamie naszych czasów, że w tej funkcji literaci muszą wyprzedzić nieobecnych dziennikarzy. Z prasy, poza głosami literatów, dowiadywałem się tylko o gotowych scenariuszach, o długometrażowych filmach artystycznych na ukończeniu, słowem o rzeczach, których nie ma, czytaliśmy chwalby na cześć krótkich filmów, które miały wejść na ekrany, a które wcale się nie ukazały, bo na to nie zasługują. Na konferencji w klubie literatów filmowcy spychali część winy za tę fałszywą reklamę na prasę, ja jednak będę upełniał się przy tym, że zawiniły losy i niespuszczone w porę mosty. Gdyby Aleksander Ford pół roku temu ogłosił w prasie, że wszystkie, tak liczne siły filmowców must skupić na odcinku przygotowań technicznych, że

nie należy oczekiwać pierwszego filmu artystycznego przed upływem roku, filmowcy uniknęliby wielu dla siebie przykrych nieporozumień. Gdyby wyjaśniali solidnie, jakie trudności muszą pokonać, gdyby zbroili bywalców kin w cierpliwość...

Nie było to nieporozumienie przypadkowe. Dawna, przedwojenna „branza” filmowa, ta straszliwa socjeta, do której, jak to słusznie nam powiedział na konferencji Aleksander Ford, nie mógł się zbliżyć bez obrzydzenia żaden uczyony człowiek sztuki, czy to literat, czy malarz, czy muzyk, zniknęła — ster kinematografii objęli ambitni zapaleńcy kinematografii, którzy dawniej borykali się z ową kapitalistyczną matką, spychani na boczny tor produkcji filmowej, prawie niedopuszczani do głosu. Między kokosowymi aspiracjami dawnej kinematografii krajowej, a dzisiejszym filmem polskim jest przepaść, w którą wierzymy, bo inaczej być nie może. Ale kierownicy „Filmu Polskiego” wleгли błogiemu złudzeniu, że ta nowa sytuacja jest wyłącznie ich zasługą, a nie zasługą przemian, które się w kraju dokonały. Nie spostrzegli, że i Związki artystyczne nie są dawnymi związkami, że sze roka z nimi styczność obowiązuje filmowców i może im wyjść tylko na dobre. Nie spostrzegli, że przemiany, które się dokonały, wymagają od nich jeszcze bardziej stanowczego odgródzenia się od spuścizny i narowów żalostnej kultury dawnej „branz” filmowej. Stąd ta halaśliwa reklama w prasie i duch autorreklamy, który panował na ekranie na słynnym już pokazie łódzkim. Stąd jeszcze w tekstach krótkometrażówek ślady przedwojennego wyhambuszona i ozdobnego stylu. Dlatego też niektórzy literaci zarzucają kronice filmowej, że patrzy na dzisiejszą Polskę zbyt stereotypowym okiem. Nie wydaje mi się, aby w tej materii miarodajna była ocena wybitnego łachowca londyńskiego. Jak wiadomo, Anglicy są w rozmowach towarzyskich uprzejmi a reformą rolną zdarzyła się nie w Anglii ale w Polsce — jej konsekwencje interesują nas bardzo.

Dlatego wreszcie filmowcy zamiast czekać w swoim zamczysku aż ten czy ów literat zakotłuje do nich ze szczęśliwym pomysłem scenariusza, powinni wyjechać do literatów, czego od nich oczekuje Film Polski.

ADAM WAŻYK

Korespondencja

Do Redaktora „Kuźnicy”

W związku z notatką p. t. „Sezanie otwórz się”, zamieszczoną w numerze „Kuźnicy” z dnia 4 lutego br. w sprawie udostępniania zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie, Dyrekcja tej Biblioteki podaje do wiadomości zainteresowanym, co następuje:

Autor notatki jest źle poinformowany: Biblioteka Narodowa przed wojną była dostępna dla publiczności, która korzystała z jej zbiorów w pięciu czytelniach: jednej głównej i czterech specjalnych.

Wojna zrujnowała całkowicie Bibliotekę Narodową; zbory specjalne spalono niemal do szczytów, znaczną część pozostałych zbiorów wywieziono na Zachód wraz z katalogiem; Bibliotece udało się odzyskać około 60 proc. z asobu druków nowszych i około 20 proc. katalogu alfabetycznego.

Pomimo strat i olbrzymich trudności technicznych spowodowanych szepusłością personelu i środków finansowych, Biblioteka Narodowa jest dostępna dla publiczności codziennie od g. 8 do 14; wiele instytucji państwowych i naukowych, wielu badaczy już z niej korzystało i nadal korzysta.

Katalog Biblioteki jest w odbudowie od kilku miesięcy, zbory są udostępniane w miarę postępu odbudowy katalogu i porządkowania magazynu przez pracowników, których liczba dopiero od paru miesięcy zbliża się powoli do takiej, jaka jest niezbędna.

Oczyszczanie i porządkowanie biur, magazynów i składów bibliotecznych, zwożenie z dalekich stron zbiorów własnych i zabezpieczonych, segregowanie i ustawianie jednych i drugich, rozprawianie zbiorów zabezpieczonych po dziesiątkach innych zakładanych lub odradzających się bibliotek, wszystko to personel Biblioteki wykonywa od roku, mając na widoku przede wszystkim cele społeczne, a więc pożytek własny i obcych czytelników.

Biblioteka Narodowa jest biblioteką naukową, nie zaś rozrywkową ani ogólnokształcącą, jest biblioteką prewencyjną (udostępniająca na miejscu), nie zaś wypożyczalnią.

Zbory specjalne stanowią podstawę głównej biblioteki naukowej Państwa Polskiego i muszą być odbudowane; zbory rękopisów, starodruków, rycin, map i nut, zniszczone w bibliotekach: Narodowej, Krasińskich, Zamoyskich, Przezdzielskich muszą być odbudowane dla dobra nauki, kultury i przyszłości Narodu Polskiego.

Prof. Dr Stefan Wierzyński

Dyrektor Biblioteki Narodowej

Do Redakcji „Kuźnicy”

Z powodu artykułu ob. Adama Ważyka p. t. „Troska o człowieka” w Nr 3(21) „Kuźnicy” z dnia 28 stycznia br., Ministerstwo Kultury i Sztuki wyjaśnia, iż w sprawie powrotu do kraju ob. Aleksandra Wata poczyniono od dawna wszelkie możliwe starania. W szczególności złożono jeszcze w lipcu r. z. odpowiednio wnioski do Głównego Pełnomocnika Rządu R. P. dla Spraw Ewakuacji oraz do Ambasady R. P. w Moskwie. Następnie w tej sprawie Ministerstwo Kultury i Sztuki interweniowało w sierpniu i listopadzie r. z. Ostatecznie wyjaśniono ze strony miarodajnej, że repatriacja odbywać się będzie tylko zbiorowo i że indywidualne powroty nie mogą być uwzględniane. Obecnie repatriacja zbiorowa już się rozpoczęła. Wobec czego należy oczekiwać, że ob. Aleksander Wat, o którego Ministerstwo Kultury i Sztuki czyniło zabiegi ze szczególnym naciskiem, powróci nareszcie do kraju.

Szeł Gabinetu Ministra

Z. Kijowska

OD REDAKCJI

Zamieszczając powyższy list Szeł Gabinetu Ministra, stwierdzamy, że jest on wymowną ilustracją do konkluzji Adama Ważyka. Starano się, ale nie wystarczyło. Za mało troski o konkretnego człowieka.

PRZEGLĄD PRASY

Zapewne zbliżające się terminy wyborcze skłoniły redakcję „Chłopskiego Sztandaru” do zamieszczenia artykułu wstępnego pióra p. Michała Ulewicza „Dokument hańby”. Publi-cysta naczelny organu P. S. L. dopiero dziś, na podstawie dokumentów odnalezionych w aktach Trybunału w Norymberdze, konstatuje to, co wiedzieliśmy jeszcze wczoraj i o czym niejednokrotnie pisano w prasie czterech stronnic twórczyni: NSZ współpracowało z Niemcami.

Te rewelacje, która doczekała się w naczelnym organie PSL wstępnego artykułu dopiero w dn. 10 lutego w nr. 6, poprzedza p. Ulewicz krótką historiozofią na temat walki narodu polskiego z okupantem. „Naród polski walczył i wierzył. Walczył z wrogiem i wierzył w dobrą intencję tych, którzy do niego przychodzili z hasłami narodowymi i patriotycznymi. Będziemy w zgodzie z prawdą, gdy przypomnimy, że w większości wypadków ludzie nie bardzo nawet pytali, jak się dana organizacja nazywa, czy co ma w swoim programie napisane”. Wydać się nam, że gdyby tak było istotnie, nie działaliby w kraju w okresie okupacji organizacje o wyraznym zarysowanym programie polityczno-politycznym. Gdyby chłopcy po wsiach nie pytali o program w imię którego mieli przelewać krew, nie powstałyby zapewne Bataliony Chłopskie, gdyby nie pytali o to młodzi chłopcy w Warszawie, nie byłoby AK, gdyby program polityczny obojętny był robotnikom i inteligencji zawodowej, nie powstałaby AL. Organizacje zbrojne były ekspozyturami programów politycznych.

Niedobrze się dzieje, gdy usiłuje się w nas mówić, że jesteśmy naiwni i głupi, jak to w gruncie rzeczy stara się zrobić p. Ulewicz. Czas skończyć z legendą czynu zbrojnego oddzielnego chińskiego murem od polityki, czas przestać traktować sprawy polityczne jako nieważne, rozpyłujące się we mgłę patriotycznego frazesu i „kochałmystów”.

Tego rodzaju stosunek do sprawy i stwierdzenie ograniczonej politycznej roli polskiego w słowach: „Całkowicie wystarczało, że werbowano... w imię walki z wrogiem”, pozwala p. Ulewiczowi na napisanie dalszych zdań, które tłumaczą czytelnikowi „Chłopskiego Sztandaru” „wpływy, jakie na niektórych terenach lub wśród pewnych środowisk ludzkich zyskała sołce oenowska organizacja wojskowa, występująca pod pretensjonalną nazwą „Narodowych Sił Zbrojnych”.

Wydać się nam, że gdyby p. Ulewicz dokładnie zbadał sprawę, to by się przekonał, że NSZ wpływy zyskał sobie tylko tam, gdzie podobne ideologie stabilizowały się już przed wojną. I rzeczywistość polityczna potwierdza nam, że ani w okresie okupacji ani w okresie pokoju ludzie nie przystępują do takich czy innych organizacji, czy to wojskowych, czy to politycznych, jeśli nie odpowiada im ich program. Dlatego też tłumaczenie popularności NSZ w pewnych środowiskach za pomocą odwoływania się do dobrej wiary ludzi, którzy pragnęli walczyć, uważać należy albo za publicystyczne potknięcie, albo za próbę rehabilitacji tych środowisk.

W artykule Adama Vetulaniego w nr. 7 „Tygodnika Warszawskiego” (Książę Metropola Krakowski) znajdujemy apologetykę Adama Stefana Sapiehy. Mamy głęboki szacunek dla duchowości katolickiego, które na terenie całej Europy ulegało prześladowaniom ze strony faszystów. Przypominamy tu postawę niższego kleru hiszpańskiego wobec faszystowskich wojsk obecnego pułka Piusa XII, generała Franco, jak również przypominamy nazwiska tych dostojników kościoła katolickiego, którzy jak np. Faulhaber ratowali prestiż moralny katolicyzmu w samym sercu faszystowskich Niemiec. Autor artykułu omawia dość szczegółowo działalność księcia-metropolity przed wojną, niewiele wspomina o działalności w okresie okupacji. „Książę-metropolita interweniował gdzie mógł, słał depesze, memoriały, listy. Z pewnością nie wszystkie odniosły sukces. Skuteczna natomiast okazała się niewątpliwie jego interwencja przeciw celowej moralnej deprawacji młodzieży polskiej, urządzonej przez Niemców z okazji przymusowych robót nad fortyfikacjami w r. 1944”. Autor artykułu z pewną dozą przesadnej dumy stwierdza że księcia-metropolity „nie skłoniły jednak żadne obietnice, którymi Niemcy poparli swe żądania, aby zachęcał

Polaków do współpracy z Niemcami”. Nie wdziemy tu nawet powodu do pisania o tym, uważamy, że to jest w każdym razie to minimum, jakiego należy oczekiwać od wysokiego dostojnika kościelnego!

Żle robi tygodnik katolicki, że zamiast w artykule lub nawet w kilku artykułach, opisać rzeczywiście ofiarną i wiele pożyteczną pracę wielu księży katolickich na rzecz ruchu oporu, dodaje jeszcze do fioletów księcia-metropolity tę odróbną blasku, jaką usiłuje mu przydać apologetyczny artykuł p. Vetulaniego.

Intencje brązownictwa jednak są u nas bardzo silne. Od pewnego czasu obserwujemy z zainteresowaniem proces brązowania pewnego okręsu i pewnego odłamu literackiego, który bynajmniej na to nie zasługuje, w naszym przytłumionym rozumieniu sprawy. Mamy na myśli t. zw. „poetę warszawską”, ściślej, grupę młodych poetów, skupiających się w okresie okupacji wokół wydawnictwa „Sztuka i Naród”.

W nr. 7 katolickiego tygodnika „Dziś i Jutro” znajdujemy artykuł Stanisława Ziembickiego „Jedność twórczości i walki”. P. Ziembicki apoteozuje kilku młodych, zdolnych bezsprzecznie (Gacy) poetów, twierdząc, że to, co po nich pozostało — to styl epoki. Poezja warszawska jest smutnym przykładem jeszcze jednego ślepego zaułka, których tak wiele odchodziło od głównej ulicy literatury w ciągu całego ostatniego dziesięciolecia. Niewątpliwie świadomość, że „choćby po nas miał przemazszować chamski but kate... — to przecież dla przyszłych pokoleń będzie ten nasz krzyk... — pragnieniem mocnego dobra”, była w okresie okupacji tyleż pożyteczna, ile szkodliwa. Dziś brązowanie tego sposobu myślenia jest bezcelowe. Stylu epoki w tym nie ma, jest w tym tylko fragment i to smutny, naszej epoki.

Nr. 2-3 „Kamenu” zawiódł nieco nadzieje, jakie pokładaliśmy w tym piśmie po jego wznowieniu. „Kamena” stała się miesiecznikiem eklektycznym z punktu widzenia artystycznego, co by oczywiście nie szkodziło. Niewątpliwie potrzebne jest jedno pismo ściśle poetyckie tego rodzaju. Gorzej natomiast, że wiersze w nr. 2-3 nie najlepiej prezentują nam rzeczywistość dzisiejszej poezji polskiej. W numerze poza wierszami znajdujemy dokończenie essayu Kazimierza Wyki o Józefie Czechowiczu, nienajlepszą prozę oraz przekłady z poezji francuskiej i rosyjskiej.

Sprawa upowszechnienia sztuki zajmuje się w „Zdroju” J. N. Kłosowski (Nr. 4) w artykule „Tragiczne nieporozumienie”. Kłosowski zarzuca m. in. współczesnej poezji polskiej, biorąc jako charakterystyczny przykład twórczość Juliana Przybysia, brak kontaktu z „masami”. Trudno zgodzić się z wywodami Kłosowskiego, tym bardziej, że to, co pisze na temat „piękna na codzień” („stygmatem piękna naznaczyć każdy przedmiot, każdą rzecz codziennego użytku...”) pachnie nam mocno zeszląm wiekiem, pseudoludowym przemysłem artystycznym, który w gruncie rzeczy był zawsze tandetny. To, że t. zw. masy nie zetknęły się z poezją współczesną, to nie wina poezji ani mas. Po prostu wydały się nam, że zanim zaczniemy upowszechniać sztukę należy upowszechnić oświatę. To, czego życzy sobie Kłosowski, sprowadziłoby poezję do roli echa, powtarzającego najłatwiejsze słowa. Demokratyzacja sztuki może polegać tylko na udostępnieniu jej szerokim masom, w żadnym wypadku nie może i nie powinna ograniczać twórczości, odbierać prawa do takiego lub innego formułowania wyrazu artystycznego. Czytamy nieraz „Zdroju” i inne pisma, zachwalające że pojmowane upowszechnienie sztuki i musimy stwierdzić, że owe proste, jasne, zrozumiałe dla wszystkich wiersze są dużo gorsze niż utwory rzekomo trudne. Są gorsze oczywiście nie dlatego, że są zrozumiałe, ale dlatego, że są nieporadne technicznie. Dzisiejszy stan naszej wiedzy o poezji nie pozwala nam na rezygnowanie ze zdobyczy formalnych w imię ułatwienia lektury. Natomiast dzisiejsza sytuacja polityczna i ekonomiczna pozwala na upowszechnienie oświaty w takim stopniu, że poziom intelektualny t. zw. mas czy jak pisze Kłosowski „ludu” podlegnie się wyżej niż dotychczas, co automatycznie poloży kres sugestiom niektórych krytyków, którzy by radzi widzieć poezję polską sprowadzoną do roli lusterka, odbijającego najbardziej znajomy krajobraz.

pb.

Konkurs na sztukę dla świetlic górniczych

Związek Zawodowy Literatów Polskich — Oddział Śląski w Katowicach w porozumieniu z Biurem Informacji i Propagandy Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego ogłasza konkurs na jednoaktowy utwór sceniczny dla świetlic górniczych.

Tematyka utworu dowolna, pierwszeństwo jednak będą miały utwory związane treścią z życiem i pracą górnika.

Utwory są przeznaczane dla amatorskich zespołów dramatycznych. Przy opracowaniu należy uwzględnić skromne stosunkowo możliwości scen świetlicowych.

Prace nadsyłać należy do dnia 15.4.1946 r. do Związku Zawodowego Literatów Polskich — Oddział Śląski w Katowicach, ul. 3 Maja 36-a. Praca winna być opatrzona godłem. Dołączyć należy w dobrze zaklejonej kopercie imię, nazwisko, oraz dokładny adres autora.

W skład sądu konkursowego wchodzi: dr. Jerzy Koller, red. Wilhelm Szewczyk, Zdzisław

Pyzik z ramienia Zw. Zaw. Literatów, oraz redaktor czasopisma „Górnik” — Mieczysław Markowski.

Za najlepsze prace Sąd Konkursowy przyznaje nagrody, ofiarowane przez Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego

1-sza 15.000 zł,

2-ga 10.000 zł,

3-cia 5.000 zł.

Sąd Konkursowy zastrzega sobie prawo innego rozdziału nagród, względnie przyznanie tylko części nagród.

Nagrodzone sztuki zostaną zakupione przez CZPW do wyłącznego użytku świetlic górniczych.

CZPW zastrzega sobie prawo zakupu innych, nienagrodzonych prac. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w dniu 1 maja 1946 r. w katowickiej prasie codziennej oraz w czasopiśmie „Odra” i „Górnik”.

N O T Y

TO JUŻ NIE SZALEŃSTWO

W artykule pt. „Szekspir był ssakiem” („Odrodzenie Nr 7”) Artur Sandauer próbuje bronić niektórych — trzeba przyznać, że nie wszystkich — nonsensów, którymi ozdobił swoją „Filozofię Leśmiana”. Twierdzi, że wyrzywał cytaty na chybił trafił, że ich nie doczytał. Daje Sandauerowi słowo honoru, że wszystko trzykrotnie czytał, ale nie-podobna doczytać się sensu tam gdzie go nie ma. Te właśnie cytaty wybierałem, w których gnieździło się szaleństwo. Gdyby wystarczyło brać je na chybił trafił, to świadczyłoby, że całe studium Sandauera jest stępkiem niedorzeczności, a tego wcale nie twierdzę. Przyznaje, że w jednym wypadku zastawiłem się na Sandauera. Nazwałem jego metafizyczną spekulację swoistą triadą heglińską, bo jak wiadomo, prawdziwa triada heglińska musi rozwijać się w czasie. I Sandauer naprawdę uwiarył, że oparł swoją kompozycję na zasadzie triady heglińskiej! Przyłapano na brzydki, psychologizujący aferaże z Platonem. Sandauer dowiedział się nareszcie, że Platon przypisywał ideom byt obiektywny, więc spieszy dodać: „idea te, percepcyjne przez umysł, stają się jednak zjawiskiem psychicznym”. Nie wiem, co to zdanie znaczy, ale gdyby nawet miało jakiś sens, to co tu Platonowi zawinił, że jego idee stają się w głowie Sandauera zjawiskiem psychicznym. Przecież Sandauer twierdził, że to nie kto inny, jak właśnie Platon ochrzciłby idea jakowejś „potencjalnie istniejącej przedmiotów w naszym umyśle”. Po co udawać Greka, kiedy się nie zna Platona?

Zejdźmy jednak na samo dno bredni. Swój kardynalny obsesję na temat stosunku treści do formy Sandauer pogłębia i tak formuluje: „Ze — w dziedzinie literatury — owe nieświadome pobudki wyrażają się raczej w formie niż w treści, wynika z prostego rozumowania przez wyłączenie: ponieważ w treści dochodzi do głosu tylko rzeczy przez autora zamierzone, gdzie zatem mogą się owe pobudki nieświadome wyrazić, jeśli nie w formie? Trzeciemu miejscu nie ma”.

Możemy to sprawdzić na przykładzie. Czy Bałzak zamierzał w „Komedii Ludzkiej” ukazać dekadencję moralną arystokracji? Nie zamierzał. Czy w „Komedii Ludzkiej” została ukazana? Tak jest, została ukazana. W treści czy w formie? Oczywiście, że w treści. A teraz, proszę, rozumiecie trybem Sandauera przez wyłączenie!

Ale skąd wziął Sandauer owe „nieświadome pobudki”?

W pierwotnym szaleństwie nazywało się to „cecha naturalna i mimowolna autora”. Po-słuchajmy:

„Nie ma to nic wspólnego z freudyzmem: ten bowiem dopuszcza nieświadomość w samych przeżyciach psychicznych, gdy my tylko — w ich połączeniu, w ich przyczynowym związku, Sokratyczne „poznaj samego siebie” byłoby niedorzecznością, gdybyśmy znali siebie w pełni: na szczęście dostrzegamy tylko aktualne zjawiska psychiczne, lecz nie ich wzajemne połączenia. „Chodzi o to, ażeby zbadać siły poruszające, które — świadomie lub nieświadomie, a nawet bardzo często nieświadomie — są ukryte poza pobudkami ludzi” — powiedział słusznie Engels („Ludwik Feuerbach i koniec klasycznej filozofii niemieckiej” Dzieła wybrane, t. I, str. 460)“.

Poczęm następuję wzmiankowane sformułowanie: „Ze — w dziedzinie literatury — owe nieświadome pobudki...”

Zaintrygowany tym enigmatycznym cytatem z Engelsa, sprawdziłem, Sandauer uciał myśl Engelsa nie po kropce, nie po przecinku, po prostu rąbnął przez żywe ciało zdania.

Cytat z Engelsa brzmi:

„Jeśli więc chodzi o to, aby zbadać siły poruszające, które — świadomie lub nieświadomie, a nawet bardzo często nieświadomie — są ukryte poza pobudkami ludzi działającymi w historii i stanowią właściwie ostatnie jej sprężyny, to idzie nie tyle o pobudki działania poszczególne, chociażby najwytłumaczysz ludzi, ile o pobudki, wrapiające w ruch olbrzymie masy, całe narody, a wewnątrz każdego narodu z kolei całe klasy”.

To wszystko oczywiście nie ma nic wspólnego z tokiem rozważań Sandauera, który tak okaleczył myśl Engelsa, aby pokazać, że i Engels używał słów „świadomy” i „nieświadomy”. Engels używał ich w innym rozumieniu niż Sandauer i Sandauer o tym wie doskonale, jeśli przeczytał Engelsa, ale Sandauer woli fałszować myśl Engelsa i natychmiast przemycić na jego rachunek „owe nieświadome pobudki”. Engels nie zna żadnych „nieświadomych pobudek”, zna zewnętrzne, działające przyczyny historyczne, które „w głowach działających mas oraz ich przywódców... odzwierciedlają się jako świadome pobudki jasno lub niejasno, bezpośrednio lub też w ideologicznej czy nawet fantastycznej postaci”. (Na tej stronie cytowanego utworu).

Sandauer sfalszował Engelsa w sposób śmieszny i dziecinny. Ale to już nie akt szaleństwa, To świadome oszustwo intelektualne.

Dlatego muszę ostrzec Karola Kuryliuka, redaktora „Odrodzenia”, aby na przyszłość sprawdził cytaty z klasyków marksizmu, kiedy odwołuje się do nich Artur Sandauer.

Po przygodzie, jaka zdarzyła się Engelsoni, nie mogą mnie już zdziwić inne oszustwa

intelektualne tegoż Sandauera, który traktuje każdą polemikę jako napastę osobistą, wymagającą odwetu. Spróbował zemsty na „Uwagach o Norwidzie i norwidyzmie”, ogłoszonych w „Odrodzeniu” rok temu! Chociaż zakres tych uwag był zupełnie inny, niż w jego pracy o Leśmianie, Sandauer, znnowu, udaje Greka. „O ileż łatwiej — wola — określić od razu stanowisko społeczne pisarza, by potem wypłynąć na szerokie wody socjologii. Nie trzeba wówczas badań twórczości, wystarczy spojrzeć na metrykę i stwierdzić, że Norwid pochodził z drobnej szlachty i reprezentował drobnoszlachecką ideologię”. I znnowu Sandauer kłamie, bo w „Uwagach o Norwidzie i norwidyzmie” wskazywałem przede wszystkim na drobnomieszczańskie i drobnobolszowskie elementy ideologii Norwida. A czy metoda socjologiczna jest łatwiejsza od formalistycznej spekulacji? To zależy dla kogo. Dla Sandauera na pewno trudniejsza, bo kiedy raz jej spróbował, od razu strzelił niebotycznym nonsensem: odkrył w Balzaku „naturalną ideologię mieszczańską”! (Uwagi o metodzie krytycznej”, „Odrodzenie” Rok I, Nr 36). Od tego właśnie czasu utarło się znakomite przysłowie:

Szekspir był ssakiem,
Sandauer metniakiem.

awk

CZY „POUR LE ROI DE PRUSSE”?

Londonyjski „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” w numerze z 3 stycznia drukuje artykuł jakiegoś N. Poddebskiego „Nauka polska w służbie nowych władców”. Wartykuł tym autor pisze, że wytworzyły się rozmaite pomosty „przez które starania rządu o zjednanie sobie współpracy części sfer intelektualnych trafiają do niektórych osób z tych sfer... Pierwszym takim pomostem jest sprawa niemiecka: przeżycia w obozach koncentracyjnych i cierpienia okupacji obciążały uczuciowo (podkr. nasze) świadomość wielu ludzi, którzy przeczucia skutkiem tego (podkr. nasze) niebezpieczeństwo niemieckie na przyszłość. Sa oni skłonni do przesady w szukaniu dla Polski oparcia przeciw temu niebezpieczeństwu...”

A równocześnie rzymski „Orzeł Biały” drukuje dłuższy elukubrat p. Dziwanowskiego o walce dyplomatycznej na kongresie wiedeńskim w 1814—1815. Pisane jest to w takim stylu, aby wywoływać analogie do obecnych czasów. A więc „wielka czwórka”, protesty przeciw dopuszczeniu Francji etc. No dobrze, ale na czym właściwie polegała ta gra w 1814 r.? Przeciwni koncepcji utworzenia silnego Królestwa Polskiego ze wszystkich ziem b. Księstwa Warszawskiego (i ewentualnie innych ziem) wystąpili — obawiając się o swoich poddanych polskich, którzy mogli być narażeni na „wywrotowe”, „narodowe” wpływy z sąsiedniego Królestwa Polskiego — mocarstwa niemieckie, a więc Austria z Metternichem i Prusy. Była więc gra interesów polskich z niemieckimi; w wyniku tej gry mocarstwa niemieckie uzyskały poparcie Anglii, czego wynikiem był rozbiór ziem księstwa i wcielenie Poznańskiego i kraju nadnoteckiego do Prus... Jeżeli więc sa tu jakieś analogie to bynajmniej nie takie jakich p. Dziwanowski i jego mocodawcy chcieliby. Przechodząc więc tylko oczy ze zdumienia i pytamy się komu potrzebne sa dziś podobne wywody? Czy nie pour le roi de Prusse?

it

NASI OKUPANCI

W dzienniku „Italia Libera”, wychodzącym w Paryżu, organie Towarzystwa Przyjaźni Francusko - Włoskiej, czytamy następujące uwagi o roli żołnierzy Andersa we Włoszech:

„Spokoini i uczciwi obywatele Ankonę, Senigallii, Rimini, Pasaro a także pewnych położonych dalej na północ w stronę Bolonii, którzy odbudowywali zniszczone Włochy, uskarżają się, że muszą wystawić posterunki przed lokalami związków zawodowych i innymi instytucjami celem obrony ich przed żołnierzami Andersa. Nie można zwołać zebrania pracowników czy kobiet, jeżeli w danej miejscowości znajdują się polscy żołnierze. Włosi wyzwoleni spod jarzma faszyzmu opowiadają, że obszarnicy i bożaci właściciele zacierają ręce z zadowolenia, że ci bogostawieni Polacy robia dla nich dobrą robotę przygotowaną dla Konstytuanty. Słowo Polak było wymawiane we Włoszech z rodzajem czci, jako symbol wiecznego pragnienia wolności i dla siebie i dla innych narodów. Na ziemi włoskiej imiona polskich poetów i polskich mityków oznaczały ideały wolności i braterstwa ludów. Odtąd obecnie ludność miast i wsi nadadriatyckich (opinia ta rozszerza się z dnia na dzień na całe Włochy) myśli o Polakach jako o ludziach, którzy nienawidzą wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z ruchem robotniczym, z postępiem i z rewolucją społeczną. Stosunki między armia Andersa we Włoszech i ludnością antyfaszystowską stają się z dnia na dzień coraz bardziej napięte. Stanowi to groźbę dla wolnego przebiegu wyborów do Konstytuanty”.

Za naszą i waszą wolność — kiedy to było? Sto lat temu, czy tysiąc?

ic

DZIECI I RYBY

Za moich młodych lat w patriarchalnych domach polskich jeszcze mawiano „dzieci i ryby głosu nie mają”. Muszę powtórzyć to zdanie pod adresem młodych publicystów z „Dziś i jutro”.

W piśmie tym ukazała się w Nr 7 (13) notatka „Wyciągnięta lewica”, z której wynika, iż:

1) proponowana przez St. Żółkiewskiego współpraca polityczna katolików i marksistów jest wyrazem demoralizacji ruchu politycznego (marksistowskiego) przez cyniczne uznanie prymatu taktyki nad ideologią;

2) stanowisko St. Żółkiewskiego propagującego tę współpracę ma być rezultatem nie-szczęśliwego chwytu taktycznego, za którym nie kryje się żadne przekonanie.

Dowodem słuszności takiej interpretacji stanowiska St. Żółkiewskiego ma być fakt, iż w piśmie przezeń redagowanym Jan Kott w jednym ze swoich artykułów twierdzi:

1) że wartość poznawcza neotomizmu jest nikła

2) że należy dążyć z równą siłą do przemiany ustroju jak i do przemiany problematyki kulturalnej i że ostatecznym celem marksistów ma być nie tylko zjednanie innych do konkretnej współpracy przy programie minimalnym, ale właśnie także przekonanie o racji swej ideologii.

Te twierdzenia mają przeżyć — propozycji współpracy, która sformułował St. Żółkiewski, mają ją czynnie podejrzaną machinacją kanciarza politycznego.

Publicyści „Dziś i jutro” napewno przekroczyli już poważny wiek, w którym osiąga się zdolność dostrzegania związków logicznych. Optymiści przypisują te cechy uczniom gimnazjalnym.

Otóż: można bez naruszenia zasady sprzeczności uznawać stanowisko i Żółkiewskiego i Kotta. Wiecej — sam Żółkiewski tak sformułował swoje propozycje w artykule „O księdzu Michalskim”: podkreślił konieczność ostrej dyskusji filozoficznej, podkreślił ambicję marksistów, aby zyskać dla swej ideologii jak najwięcej przekonanych. Surowa ocena wartości poznawczych tomizmu — nie wyklucza dostrzeżenia talentu pisarskiego i wysokiej formalnej kultury filozoficznej u poszczególnych tomistów. Żółkiewski twierdził, że spory ontologiczne — nie przeszkadzały odbudowywaniu wspólnymi siłami dachu nad wspólnym domem, wzajemnemu docenianiu wartości drugiego i otwartej dyskusji ideowej.

I to dzieci powinny rozumieć. A nie przeszkadzać swymi psimi figlami starszym w rozmowie.

Umieszczenie artykułu Żółkiewskiego i Kotta w tym samym numerze — miało właśnie znaczyć: „Współpracujemy!” — a nie miało oznaczać: „pijątkowo, niwelującego wszystkie przytomne różnice, sasko - polskie — „Kochajmy się”.

„PROFESORSKIE” PISMO I JEGO POZIOM

„Kuznica” w przeglądzie prasy zwróciła uwagę na wady i małą wartość miesięcznika „Nauka i Sztuka”. I nie wracałoby się do tej sprawy.

Pismo to jednak jako organ „profesorski” spotyka się w prasie z tywono wschodnimi poklonami, które zwykli wymieniać między sobą profesorowie i kandydaci na te posady, zamiast społecznie twórczej krytyki.

O „Nauce i Sztuce” mówi się, że wprawdzie nie zastąpi „Przeglądu Współczesnego”, ale przecież istnieje krócej, tym niemniej ma wysoki poziom.

Otóż nieprawda! To sa kpiny! To profesorskie pismo ma prerażajaco niski poziom! Drukuję tandetę literacką, drukuje ohydne grafomanie wierszyka.

W dziale filozofii karmi nas stęchłą już po tamtej wojnie mąka pragmatyzmu. Np. szkice Mithrandta z aforyzmami typu: „prawdy się nie poznaje, ale przeżywa”. Otwarcie głosi metnactwo, irracjonalizm. „Spotkania na drogach przygłonych”. Wara od propagowania takich bredni pod „profesorską” firmą, na kredyt poziomowi uniwersytecki warszawskiego.

Pismo to w dobie, kiedy żywy ruch ideowy jest niezaprzeczoną i jak świadczą dwukrotnie większe niż przed wojną nakłady tygodników literackich, szeroko odczuwana potrzeba społeczna, nie porusza właściwie żadnych zagadnień. Gdyby nie data na okładce mogłoby się ukazać i w 1935 r. Tymczasem pismo „profesorskie” winno wzniość tak żywą z przed 1939 r. walke o odnowę metod badań humanistycznych, winno pokazać jak sie naukowymi, empirycznymi, racjonalnymi metodami rozstrzyga problem społeczne. Winno wzniość zacczeta przez Lugardena rewidzję pojęć psychologicznych. Winno popularyzować najlepsze wyniki naszej uniwersyteckiej nauki: przede wszystkim w logice.

Winno torować drogi nowej historiografii, która by nie była nareszcie tylko szlachecka, aby się w niej pojawił: chłop i robotnik jako siły dziejowe. Winno zastąpić choć w części nie-fachowej, ideowej ożywcza dla atmosfery umysłowej działalność „Przeglądu Socjologicznego”.

Krótko mówiąc pismo profesorskie winno być w Polsce wyrazem postępu naukowego — tak jak umiał być przed wojną lewicowy (dla naszych profesorów) „Przegląd Socjologiczny”.

żlk

W SPRAWIE PRAWNIKA PO KADZIELI TADEUSZA KOŚCIUSZKI

W r. 1935 pomieszczył Ilustrowany Kurier Codzienny w r. 215 (z dnia 5 sierpnia) sensacyjną notatkę pt.:

Prawnik Tadeusza Kościuszki w łachmanach — nocuje na dworcach kolejowych.

W notatce tej podano wiadomość o zubożałym prawniku Tadeusza Kościuszki, Broniśława M., który mimo szczerzej chęci znaleźć jakąś pracę nigdzie nie mógł go znaleźć, odprowadzany wszędzie z nozem. Nie mając nawet kilku groszy na nocleg, nocować musiał na dworcu kolejowym w Łodzi. Zernania jego, poparte urzędowymi dokumentami nie podlegały żadnej wątpliwości. Oni bogaty ziemianin, zmuszony opuścić rodzinny majątek Smilowice, skazany był w ostatnich latach życia na poniewierkę w nędzy i poniżeniu.

Ten właśnie wytnęk Ilustrowanego Kuriera Codziennego mam pod ręką i z niego wypisuję wyjątki.

Po tylu latach przerwy nie mogę sobie przypomnieć dalszego przebiegu sprawy, czy losem nieszcześliwego starca zajęło się społeczeństwo polskie w Łodzi, czy też pedził dalej życie tułacz. Godziłoby się wyswiecić tę rzecz i w tym celu poruszać ją w tak pożytecznym organie łódzkim, poddając kilka sposobów jej rozwiązania.

Niezawodnie artykuł Kurjera wywołał przede wszystkim w Łodzi żywe zainteresowanie — może więc wśród mieszkańców miasta wie kto co o prawniku Kościuszki i mógłby podać bliższe wiadomości co się z nim stało. Czy to nie tak odległe — zaledwie 10 lat dzieli nas od chwili pojawienia się wzmianki w Kurierze, Ponadto prawdopodobnie ówczesna prasa łódzka powinna być zainteresowana się niedoła Broniśława M..

Czy nie zechciałby który z zawodowych historyków łódzkich poczynić odpowiednich poszukiwań — sam do dzienników łódzkich obecnie nie mogę dotrzeć. Może także w zestawieniach bibliografii Łodzi przez p. L. Stalawicza znalazły się jakie wskazówki?

Nadmieniam jeszcze, że w posiadaniu prawnika Kościuszki znajdowały się pękłe wstęgi Kościuszki i jego brulion w którym właśnie norecznie skreślił przebieg bitwy pod Racławicami. Co się stało z tak cennymi pamiątkami?

Żdziwna ironia losu: w miesiącu, w którym na placu Wolności znajdował się posąg Kościuszki, prawnik jego nie miał za co opłacić noclegu!

Wiktor Hahn

Z KRONIKI WYPADKÓW

Dnia 17.2.1946 w południe miał miejsce w Łodzi następujący wypadek. Ob. Otwinowski, dyrektor oddziału gdańskiego Państwowego Przedsiębiorstwa Traktorów i Maszyn Rolniczych (siedziba w Łodzi) w stanie nietrzeźwym prowadził auto będące własnością wspomnianej firmy. Nie panując nad kierownicą przy zbiegu ulic Bandurskiej i Piotrkowskiej wjechał całym rozpędem na chodnik. Przejechał zoną kolegi Grzegorza Timofiejewa, redaktora „Pobudki”. Ofiarę wypadku odwieziono natychmiast do szpitala. Lekarze stwierdzili stan groźny: złamanie podstawy czaszki i możliwość komplikacji, ponieważ żona red. Timofiejewa znajduje się w 8 miesiącu ciąży.

Pijany dyrektor Otwinowski został odprawiony do komisariatu. Opinia publiczna oczekiwiała przykładowego ukarania sprawcy. Tymczasem dowiadujemy się, że z odpowiedzialności go rejonu Milicji Obywatelskiej wypłynęły protokóły, wedle których dyr. Otwinowski miał być tego dnia trzeźwy, a katastrofa nastąpiła na skutek „defektu motoru”. Opierając się na tym dochodzeniu Milicji Prokuratura Łódzka zwołała z arestru dyr. Otwinowskiego, który zdążył się już ulotnić.

Sprawa jest tym dziwniejsza, że komendant główny M. O. w Łodzi kpt. Kempa oświadczył wobec wice-prezydenta miasta E. Ajnenkiela, jak również w prokuraturze, iż jest mu rzeczą wiadomą, że kierujący autem był w stanie nietrzeźwym i że ma na to bezpośredniego świadka.

Nie wątpimy, że sprawą tą zajmą się odpowiednie wyższe czynniki.

rlom.

STANISŁAW JERZY LEC

NOTATNIK POŁOWY

POEZJE

Zł 30.-

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH
KSIĘGARNIACH

SPOŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„KSIAZKA”

CENY OGŁOSZEŃ: F lumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Probne ogłoszenia 25 zł1 mm na 1 szpalte.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmujące wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D—06599

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia — Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.